Nr. 40. Poznań, Niedziela dnia 6 Października 1907. Rok XI.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.)	.	15%
„ kwartalnem 13 ×	.	25%
„ półrocznem 26 ×	.	33⅓%
„ rocznem 52 ×	.	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 1465.**

Najtańszy skład

garderoby męzkiej i dla chłopców

J. i S. SKĄPSKI, POZNAŃ

Wrocławska 13/14 (dawn. K. Kużaj). Telefon 259.

2-gi skład **Stary Rynek 44.** narożnik ul. Butelskiej naprzeciw Ratusza.

Na sezon latowo-jesienny

polecamy w olbrzymim wyborze, z najnowszych materyałów w modnych fasonach i po bajecznie nizkich cenach:

Ubrania żakietowe i surdutowe, paltoty płaszcze pelerynowe i nieprzemakalne gumowe, haweloki, szlafroki, litewki, modne kamizelki wełniane, jedwabne i pikowe, liberye, spodnie i t. d.

Wielki skład sukna.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu **Duchowieństwu** polecamy

rewerendy znakomitego kroju. 40

Do Szanownych Właścicieli domów!

Nowe papowe dachy podwójne, także łupkowe pod ***długoletnią*** gwarancyą, daję za stare ***DACHY CYNKOWE***

za które jeszcze dopłacam.

Także polecam się do wykonywania wszelkich ***prac dekarskich, dachówką, łupkiem itd.*** Wszelkie reparacye dachów wykonuję sumiennie i pod gwarancyą. 121

Kosztorysy i rewizye dachów bezpłatnie każdego czasu. Referencye z wykonanych prac na pałacach, kościołach itd. dostarczam każdej chwili.

J. Marciniak, mistrz dekarski.

Biuro Poznań, św. Marcin 14. Telefon Nr. 716.

Rewerendy

płaszcze oraz wszelką inną garderobę

poleca

znane z dobrego kroju Przewielebnemu Duchowieństwu

W. Frąckowiak, Poznań,

224

Pl. Wilhelmowski 18,

Dom Przemysłowy.

Wyższa

szkoła kroju, szycia i stroi

Zofii Szuman

W POZNANIU

przy ul. Piekary nr. 6

od 1 października b. r.

przy ul. Wilhelmowskiej 19.

Oddzielne kursa dla osób fachowych. **Oddzielne** dla uczących się do własnego użytku. 644

Programy na żądanie bezpłatnie.

Dostarcza na zamówienie kroi podług miary.

Kursa wieczorne dla osób mających dzień zajęty.

Biegła

nakładaczka

oraz

dziewczę do posyłek

może się zaraz zgłosić do

Drukarni „PRACY"

Poznań, Rycerska 38.

Do mego składu damskich kapeluszy, krótkich tow. i garderoby poszukuję natychmiast dzielnej

sprzedawaczki

znająca język polski i niemiecki. 843

Herrmann Tichauer

Lublinitz O/Schl.

Z. Rittera proszek do prania

bieli i konserwuje bieliznę!



Praktyczne i rozsądne gospodynie używają do prania bielizny tylko Rittera proszek

„Lessive Albin."

Proszek ten podgwarancyą bez kloru jest nieoceniony do prania i bielenia bielizny oraz materyałów wełnianych i bawełnianych, jedwabi, flanel i innych tkanin, również najtańszym i najlepszym środkiem do czyszczenia wszelkich sprzętów kuchennych, szkła, płyt marmurowych, garnków, drzwi, okien, podłóg i aparatów do piwa Do nabycia w paczkach po 25 fenygów w drogeryach i handlach kolonialnych, a gdzie niema na składzie, wysyła się franko 8 paczek za 2 mk. Przy zakupnie proszę uważać na mój znaczek ochronny z moim podpisem. 255

Chemiczna fabryka

Z. Rittera

Poznań, św. Marcin 20.

Książki! poleca Książki!

Parylak, Prof. Słownik niemiecko-polski i polsko-niemiecki, najlepszy z podręcznych słowników. Cena 3,— mk., z przesyłką 3,20 mk.

Wielki deklamator polski, czyli wybór najpiękniejszych deklamacyi. Cena 1,10 mk., z przesyłką 1,30 mk

Noskowicz, Serdeczna rozmowa kwiatami dla zakochanych. Cena 40 fen., z przesyłką 45 fen.

Chociszewski, Pół tuzina wesołych dyalogów i komedyjek. Cena 1,— mk.

Książki do nabożeństwa.

Smolarski X. Mały Zbiorek modlitw, prześliczna miniaturowa książeczka, oprawa skórkowa. Cena 2,— mk., z przesyłką 2,20 mk.

Zdrowaś Marya, tej samej wielkości ładna książeczka Cena 1,— mk., z przesyłką 1,10 mk.

Wianek Maryi, oprawna w skórkę watowaną. Cena 2,50 mk.

Anioł Stróż, oprawna w skórkę z okuciem. Cena 2,— mk., z przesyłką 2,20 mk.

Powyższe książki wysela odwrotną pocztą przez zaliczkę, lub za nadesłaniem pieniędzy w znaczkach pocztowych. 327

Bogdan Chrzanowski

księgarnia.

Poznań, ul. Wilhelmowska 17.

Klinika prywatna

Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne, dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych 159

Poznań Plac Piotra 4

(Petriplatz.)

TELEFON 893.

Nr. 40. Poznań, dnia 6 Października 1907 r. Rok XI.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

Szanowni Czytelnicy!

Niżej podpisany, nabywszy od 1-go Października **„Pracę“**, zwraca się do społeczeństwa z prośbą o poparcie tego wydawnictwa.

„Praca“ będzie redagowana w duchu **szczerze katolickim i polskim.** Nie będzie na wysługach żadnej partyi, lecz chce **służyć dobru i interesom całego społeczeństwa** z równą bezstronnością. Nie mogąc, jako tygodnik, informować szybko, jak gazety codzienne, czytelników swoich o bieżących sprawach dnia, pragnie każdą ważniejszą sprawę narodową, polityczną, społeczną lub ekonomiczną tygodnia przedstawiać w sposób rzeczowy bez polemiki i osobistego zacięcia. Wobec traktowanych szeroko w gazetach spraw politycznych, na czem z natury rzeczy cierpią sprawy ogólno kulturalne, „Praca“ zwróci szczególną na te właśnie sprawy uwagę i jako zadanie pierwszorzędne uważa

dbać o pielęgnowanie i szerzenie wszystkiego, co kulturę wogóle, a polską w szczególności stanowi.

Podając ze wszystkich stron, gdzie Polacy mieszkają, objawy ich życia i twórczości, ma nadzieję, **że stanie się pośredniczką ducha między odłamami narodu** i w ten sposób sprawić sobie obiecuje, iż cobądź i gdziebądź objawi się poważnego w dziedzinie polskiej myśli i czynu, dla Polaków w Niemczech, dla których tygodnik nasz przedewszystkiem jest przeznaczony, nic z tego nie zginie, lecz zachętą, podnietą, przykładem, a wreszcie i dowodem się stanie, że jakibądź los Opatrzność Boża nam przeznaczyła, naród nasz żyje i żyć chce. To życie budzić, krzewić i naprzód posuwać drogami prawdziwego, w duchu chrześciańskim pojętego postępu, będzie zadaniem „Pracy“ w naszem społeczeństwie.

„Praca“ jest jedynem pismem polskiem tego pokroju w zaborze pruskim. Dotychczasowym jej wydawcom nie udało się, mimo wielkich ofiar, zapewnić jej bytu. Okoliczność ta nie odstręczyła mnie od przejęcia tygodnika, o którym sądzę, że jest potrzebny i może być pożyteczny. Uczyniłem to, ponieważ wierzę w dobrą wolę społeczeństwa wobec przedsięwzięcia, podjętego przez dobrą wolę, w imię narodowego dobra. Do ludzi dobrej woli przeto się odwołując, proszę uprzejmie o poparcie „Pracy“.

Ponieważ stale w Poznaniu przebywać nie mogę, uprosiłem przyjaciela mego, redaktora pana Bronisława Ruczyńskiego, na kierownika nie tylko działu redakcyjnego, lecz całego wydawnictwa „Pracy“. Znając jego zapatrywania i podzielając je, mam pewność, iż „Pracę“ w kierunku powyżej naszkicowanym poprowadzi.

Adam Napieralski
wydawca „Pracy“.

Kochani Czytelnicy!

Z dniem 1 października b. r. przeszła „Praca“ na własność p. Adama Napieralskiego z Bytomia.

Przy sprzedaży kierowaliśmy się przedewszystkiem dwoma następującymi względami:

1) ażeby „Pracy“ zapewnić dalsze istnienie,

2) ażeby kupujący dawał społeczeństwu i nam osobistą gwarancyę, że zachowa „Pracy“ nadal cechę pisma wybitnie narodowego, traktującego nasze sprawy polityczne i społeczne w duchu rozumnego i prawdziwego patryotyzmu.

Szczery patryotyzm p. Napieralskiego gwarantuje nam, że „Praca“, jak dotąd tak i w przyszłości stać będzie wiernie w szeregu tych pism, które spraw naszych narodowych bronią z zaparciem się siebie i wytrwale.

Z głębokiem przeświadczeniem, że się pod tym względem nie mylimy, żegnamy się z Wami, kochani Czytelnicy, dziękujemy Wam serdecznie za zaufanie, jakiem nas przez cztery lata darzyliście i prosimy Was zarazem gorąco, ażebyście to zaufanie przenieśli na nowego nabywcę, któremu z całego serca życzymy powodzenia.

Poznań, dnia 30-go września 1907.

Marcin Biedermann, Dr. Alfred Chłapowski, Jarogniew Drwęski, hr. M. Mielżyński, Dr. F. Niegolewski, K. Rzepecki, Idzi Świtała.

Do Czytelników.

Na pierwszej stronie niniejszego zeszytu znajdzie Szanowny Czytelnik wstępne słowo wydawcy, zawierające program naszego wydawnictwa.

Powiedziano tam, czem ma być „Praca“, jakie jej zdania i cele, wskazano także na środki, jakich ku osiągnięciu tych celów użyć należy.

Główne te wytyczne zastosować w praktyce redakcyjnej, prowadzić pismo w duchu i kierunku niekłócącym się z programem, oto jedno z najważniejszych zadań kierownictwa pisma.

Powołany na naczelne miejsce w redakcyi „Pracy“, obejmuję takowe tem śmielej, o ile z wyż podanym programem we wszystkich częściach szczerze się solidaryzuję.

Nie ma potrzeby rozprowadzać programu. Dla każdego on zrozumiały. Sądzę jednak, że wolno mi najważniejszy zeń szczegół podnieść i zaakcentować.

Na samym czele powiedziano: „Praca“ będzie redagowaną w duchu szczerze katolickim i polskim.

W obecnych ciężkich czasach, jakie przeżywamy, gdzie ze wszech stron grozi niebezpieczeństwo Polakom, bądź to ze strony ducha niewiary i przewrotu społecznego, bądź ze strony szowinizmu hakatystycznego, bijącego w całą egzystencyę naszą, tem silniej i zwarciej skupiać się należy pod temi sztandarami, które zawsze powiewały wspólnie nad naszym narodem i do wielkości i sławy go prowadziły.

Sztandarami temi, to święta nasza wiara i miłość narodu.

Miłość narodu, a więc dbanie o wspólną dolę, przywiązanie do swego języka, swej kultury, swych obyczajów i chęć pielęgnowania tego wszystkiego, jest najwznio-

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

64) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Gdyby atoli Krukowiecki nie był poddawał miasta, lecz prowadził dalej układy, jak tego chciał Prądzyński i inni i gdyby Kaliszanie tych układów nie byli zerwali, gdyby był nadszedł Ramorino z 20,000 wyborowego żołnierza, a nie marnował samowolnie i jakby umyślnie drogiego czasu na bezcelowych wędrówkach do Osieka, Garwolina i Żelachowa, to przy nadzwyczajnej dzielności, zapale i poświęceniu polskiego wojska, które nie przyćmionym blaskiem zajaśniały na polach warszawskich, Moskale niewątpliwie ponieśli by byli klęskę, a Warszawa stałaby się grobem Paskiewicza i jego armii [1]).

8. Koniec powstania.

Losy powstania rozstrzygnęła utrata Warszawy. Na radzie wojennej złożył dowództwo zrozpaczony Małachowski, a objął je generał *Rybiński*. Paskiewicz bojąc się jeszcze wojska polskiego, które wyszło z Warszawy, a liczyło 28,000 i razem z korpusem Ramorina mogło dalej prowadzić wojnę, postanowił osobno pokonać te korpusy, do czego sprzyjały mu okoliczności. Rybiński bowiem nie posiadał zdolności na wodza, a w wojsku panowała niesubordynacya [2]) i zwątpienie. Ramorino zaś, otrzymawszy teraz rozkaz złączenia się z główną armią, nie usłuchał rozkazu, lecz ruszył do Zamościa, by się połączyć z Różyckim i wojnę na własną rękę dalej prowadzić. Otoczony przez przeważające siły rosyjskie, stoczył on krwawą walkę pod *Borowem* [3]), lecz zmuszony został przejść granicę austyacką i złożyć broń (17 września).

Teraz postawił Paskiewicz reszcie wojska takie ultimatum (ostateczne warunki):

— Poddać się królowi konstytucyjnemu, wydać Modlin i wysłać do Petersburga deputacyę z prośbą o przebaczenie! Ostatni raz zebrany *sejm w Płocku* odrzucił te warunki, a na radzie wojennej w *Słupnie*[4]) (23 września) z 42 dowódzców tylko 6 żądało dalszego prowadzenia wojny. Tymczasem Paskiewicz okrążył już wojsko polskie i żądał bezwarunkowego poddania się.

— Nie poddamy się, nie przeniesiemy tej hańby! — mówili członkowie rady wojennej zebranej *koło Włocławka* i odrzucili żądania Paskiewicza. Ale nie było już ratunku. Chciało wojsko przejść Wisłę pod Włocławkiem i granicą pruską dotrzeć do województwa krakowskiego, aby tu zyskać nowe siły do walki. Lecz tu, ustępujący już przed przeważającemi siłami Rosyan, Różycki przeszedł granice Rzeczypospolitej Krakowskiej pod Chrzanowem i złożył broń Austryakom *pod Zatorem* (27 września). Wobec tego i główna armia, pozbawiona już wszystkiego, zaprzestała walki na rozkaz *rady wojennej w Swiedziebnie* [5]) zebranej.

[1]) Lewicki, 457—460; Sokołowski, IV, 1649—1654; Limanowski, 18183—18

[2]) *Niesubordynacya*, z łać., niekarność, nieposłuszeństwo.
[3]) Borowo, wieś pod Zawichostem.
[4]) Słupno, koło Płocka.
[5]) Świedziebna, w ziemi dobrzyńskiej koło Rypina.

ślejszem uczuciem przyrodzonem człowieka. Właśnie jednak, że jest ono uczuciem, instynktem, a więc czemś, co może zamrzeć lub też rozpalić się chorobliwie i tem samem się spaczyć lub zbłąkać, potrzeba, aby mu przyświecało światło prawdy niezmiennej i niezniszczalnej, światło wiary świętej, niosące ciepło i jasność w chłód i pomroki serca ludzkiego i rozświetlało drogi, wiodące człowieka, naród i ludzkość całą do wiecznych przeznaczeń.

Wiara i narodowość są nierozerwalnie złączone w każdem prawdziwie zacnem ludzkiem sercu. Podobnie też w piśmie, mającem służyć zacnym ludziom, te pierwiastki jasno i ciepło zaznaczać się winny i przebrzmiewać niezmąconym tonem z treści wydawnictwa.

Nie dość jednak, aby pismo rozbrzmiewało tylko hasłami katolickiemi. Główna rzecz, aby w treści swej urzeczywistniało zasady wiary Chrystusowej i w ten sposób przyczyniło się do tego, aby one nie były tylko w ustach społeczeństwa, lecz w jego życiu i czynach.

Takiem pismem pragnie być „Praca" i w takim dachu pragnie służyć ludziom dobrej woli ku nauce i pokrzepieniu w pracy, ku zagrzaniu także w narzuconej nam przez przemożnego przeciwnika walce. W tej walce jednak zawsze pamiętać będziemy, że nie ona jest celem, lecz że celem jej jest pokój.

W tym duchu bronić będziemy swej dobrej sprawy. O dobrą sprawę, dobrą i zacną bronią walczyć należy. Ojcowie nasi poświęconemi mieczami bronili ojczyzny i chrześciaństwa.

Podobnie i nam czynić należy. Nie miecz wprawdzie rozstrzygnie nasz spór, lecz siła ducha i serca, stałość woli i charakteru, zapobiegliwość i oszczędność, praca na wszystkich dziedzinach życia, bądź to praktycznego bądź umysłowego i nie nienawiść do wroga, lecz miłość do tego, co swoje, copo ojcach w spuściźnie zostało i co zachować i pomnażać naszym obowiązkiem.

W tym duchu zabieramy się do pracy. Dobrym pługim chcemy orać ugory i dobry siew rzucać na urodzajną rolę.

Niechaj nam Bóg dopomaga!

B. Ruczyński.

Samobójstwo dziecka szkolnego.

Wiadomość o samobójstwie Wiktoryi Staniszewskiej, córki robotnika, 14-letniej uczennicy szkoły ludowej w Pyszczynie, pomimowolnie straszne obrazy przywodzi na myśl. Pomimowolnie pcha się pod pióro wiersz z chórału Ujejskiego: Okropne dzieje przyniósł nam czas!

Tylko te dzieje okropne dziś są inne. Dziś i najbardziej przebiegły wróg, przynajmniej u nas pod rządem pruskim nie zdołałby wcisnąć w dłoń ludu broni, któraby ugodziła w pierś bratnią.

Ale dzieje się bodaj gorzej. Ciężar kierującego systemu, pędzonego przez szowinizm hakatystyczny, takie sprawia katusze moralne nawet dzieciom naszym, że pod ich brzemieniem same targają się na własny żywot, na dobrowolną idą śmierć.

Okropne dzieje! Przepis przymusu szkolnego zmusza dziecko do uczęszczania do szkoły do czternastego ro-

---

Lecz nie chciała się poddać na łaskę i niełaskę zwycięzcy i przyznać tak wobec świata prawa Rosyi do Polski, ale postanowiła złożyć broń Prusakom. Pod Szulcowem przeszła około 20,000-czna armia polska granicę pruską i złożyła broń w Brodnicy [1]) (5 października). Trudno opisać, jakie przytem rozdzierające serce odbywały się sceny żalu i rozpaczy, gdy wojsko składało broń, którą walczyło i już dłużej walczyć nie mogło w obronie drogiej ojczyzny, co brutalnej uledz musiała przemocy! W trzy dni potem poddała się przez kapitulacyę twierdza Modlin, wreszcie Zamość. Ale oprócz jednego pułkownika nikt na łaskę i niełaskę się nie poddał. I wnet po całym kraju rozległ się bolesny jęk:

— O Boże, cała Polska nasza leży pokonana u nóg dzikiego zwycięzcy, który z nią zrobi teraz, co mu się spodoba!

A we francuskiej izbie deputowanych oświadczył minister Sebastiani spokojnie a radośnie:

— Panowie, porządek panuje już w Warszawie! [2])

c) Po powstaniu.
1831 — 1846.

1. Męczeństwo Polski za cara Mikołaja I.

— Upadek powstania w Polsce to klęska całej Europy, dążącej do wolności!

— Wolna Polska utworzyłaby potężny szaniec, broniący wolnej Europy od despotycznego caratu, powstrzymałaby wpływy tegoż caratu na Zachód; ugruntowałaby wolność polityczną w krajach, które podniosły już były rokosz; dodałaby nowego bodźca narodom ujarzmionym i uczyniłaby ruch możliwym nawet tam, gdzie dotychczas spokój panował. W Polsce więc musiała się rozstrzygnąć sprawa wolności! [3])

— Zwycięska Polska nietylko stałaby się potężnym szańcem przeciwko dzikości i despotyzmowi azyatyckiemu, lecz także groziłaby rozbiciem tego caratu, pchającego się na zachód!

Takie poważne lecz smutne zdania dawały się słyszeć pośród dążących do wolności ludów Europy, gdy rządy państw nad nimi znów ucisku dopuszczać się poczęły, a rząd rosyjski już niczem nie był hamowany, ażeby okrutnie nad Polakami się znęcać.

— Oni śmieli powstać przeciwko Rosyi, jam ich pokonał i kraj ich zdobył, to mam już teraz wszelkie do nich prawo i zwolniony jestem od zobowiązań traktatu wiedeńskiego! — tak okrutnie a samowolnie przemawiał teraz car Mikołaj.

I zaprowadzono stan wojenny, odebrano wszystkim broń, naznaczono karę śmierci za przechowywanie broni i ustanowiony został *najwyższy sąd kryminalny,* który dwa lata prowadził śledztwo.

Jakże czarną jest w dziejach ta olbrzymia karta, zawierająca poniższe przedstawienie rzeczy a zaczynająca się od tego, iż rząd najezdniczy, zaborczy, mniej oświecony, napadłszy na wolny, bogaty kraj i bezprawnie, brutalną

---

[1]) Brodnica (Strasburg) nad Drwęcą; w pobliżu niej Szulcowo.

[2]) Lewicki. 461, 462.

[3]) To są słowa historyka niemieckiego F. Hagena. — Mich. Bakunin, idealny zrazu rewolucyonista rosyjski, tak pisze później: „Oswobodzenie się Polski było naszem zbawieniem: z waszą wolnością i my stawaliśmy się wolni. Wyście to dobrze zrozumieli, kiedy na waszych chorągwiach rewolucyjnych wypisaliście te słowa rosyjskie: *za naszu i za waszu wolnosť*, t. j. za naszą i za wasza wolność. — Limanowski. 191. 192.

ku życia. System szkolny tak sprzeczny jest z tem wszystkiem, czem polskie dziecko aż do czasu szkolnego żyło, czem się bawiło, czego pragnęło, że z chwilą przejścia przez próg szkolny staje jakoby w innym świecie. Jest oszołomione, onieśmielone, traci poczucie tego, co rodzice nauczyli je uważać za dobre, i tego, przed czem przestrzegali je jako przed złem. Zamiast uczyć się —bałamuci się. Dojrzewa cieleśnie, ale duchowo karleje.

Tylko na tle tej sprzeczności między domem a szkołą można zrozumieć i pojąć samobójstwo 14-letniej dziewczynki. Dziecko musi odruchowo wręcz pragnąć wydostania się z pod systemu szkolnego. Wie ono, że kończy się dlań czas szkolny z 14 rokiem. I gdy po nad ten czas zmusza się je do przebywania w przykrem sobie otoczeniu, traci grunt moralny i chwyta za broń samobójczą.

Okropne dzieje! — gdy na stos ofiarny idą dzieci nieletnie, gdy idą z własnej woli, z jękiem boleści, jakby wiedziały, że krwi ich młodej i młodego życia ofiara nie zawróci z drogi prześladowania tych, co je wepchnęli na czarną drogę śmierci!?

Istotnie śmierć biednej Staniszewskiej robi straszne wrażenie. Mimowoli pióro i serce wzdryga się, a na usta ze wzburzonej piersi tłoczy się jeden okrzyk: stójcie! — nie przywódźcie nam dzieci naszych na zgubę i zatracenie!

W takiej chwili po odruchowym okrzyku: nie zabijaj! przychodzi drugie pytanie: Kto winien?

Wiadomość o samobójstwie Staniszewskiej podała jako pobudkę do rozpaczliwego tego czynu fakt, że dziewczynka skończywszy w styczniu b. r. lat 14 miała nadal chodzić do szkoły, — ponieważ w czasie strejku szkolnego broniła na równi z innemi dziećmi polskiego wykładu religii. A przecież niedawno temu pojawiła się wieść, że władze szkolne rozporządziły, ażeby nauczyciele rozpuścili ze względu na ustanie strejku te dzieci, które na Wielkanoc dla strejku zwolnione ze szkoły nie zostały!?

Zestawiając te dwa fakty, trudno nam sobie wytłómaczyć, kto jest właściwym najbliższym winowajcą samobójstwa Staniszewskiej. Wiemy, że spowodował ją system szkolny. Ale przecież system jest w ręku ludzi, osób, radców szkolnych, inspektorów, nauczycieli.

Kto zawinił tutaj bezpośrednio?!

Rodzice Staniszewskiej powinni dochodzić u władz, czy wspomniane rozporządzenie dotyczyło także szkoły pyszczyńskiej — i kto, jeżeli rozporządzenie to dla Pyszczyny wydane zostało, wstrzymał wykonanie tegoż?

Pytanie to jest uzasadnione faktami, które wyszły na jaw podczas licznych procesów strejkowych. Procesy te wykazały, że w dziedzinie pruskiego szkolnictwa jest szerokie pole *do samowoli* władz niższych, mających bezpośrednią styczność ze szkołą i z dziećmi.

W tym wypadku leży to także w interesie samego rządu pruskiego, wszystkich władz, ażeby winowajcę wymienić po nazwisku. My wiemy, że to dziecka nie wskrzesi. Ale sądzimy, że rząd pruski nie zechce, aby lud polski ciskał na niego samego skargę. Przecież nawet „Posener Tageblatt," organ ludzi, którzy wyparli się uczuć ludzkich, dla których sumienie i odpowiedzialność moralna za czyny nie istnieje, nawet ten nie wierzy, że samobójstwo dokonane zostało dla tego, że dziecka ze szkoły nie wypuszczono! Jeżeli nie zawinił — niech wskaże, kto zawinił, a skargi nasze zwrócą się przeciwko istotnemu winowajcy.

Nie tylko my z narodowego stanowiska uważamy małą Staniszewską za niewinną ofiarę systemu szkolnego, uważa ją tak samo i — Kościół święty. I *ksiądz* prowadził trumnę maleństwa na wieczny odpoczynek, i

---

siłą wojsk go zabrawszy, — najdzielniejszych tego ojczystego kraju obrońców, najznakomitszych Polski mężów śmiał ogłaszać jako buntowników, śmiał skazywać na karę śmierci i na gorsze od śmierci ciężkie roboty wśród lodów Sybiru!

Zaiste na taki rząd zbrodniczy trzeba było dopiero kryminalnego sądu, sprawiedliwego sądu, lecz takiego nie było na ziemi, taki mógł tylko być w rękach Sprawiedliwego Boga, chociaż późne lecz pewne a surowe wymierzającego wyroki!

Na śmierć skazani zostali Piotr Wysocki pojmany pod Wolą, Wincenty Niemojowski i inni, lecz później car zamienił im tę karę na roboty w kopalniach sybirskich. Ci którzy uszli z kraju skazani zostali na śmierć zaocznie.

Między 249 skazanymi na powieszenie byli: Maurycy Mochnacki, marszałek Ostrowski, Joach. Lelewel; skazani na ścięcie: Ad. książę Czartoryski, Teofil Morawski, Stanisław Barzykowski, Bonawent. Niemojowski, Teodor Morawski, generał Skrzynecki i inni. Wielu skazanych zostało na ciężkie więzienie. Tych żołnierzy polskich, których Prusacy za granicą wzięli do niewoli a potem wydali Moskalom, pędzono w kajdanach do Kronsztadu, Archangielska, na Kaukaz, oddawano do pułków sybirskich. Polakami zapełniano wszystkie piekła syberyjskie. 2540 emigrantów[1]) skazano na śmierć cywilną[2]) i na wieczne wygnanie, wszystkich zaś na konfiskatę[3]) majątków; zabrane dobra ziemskie rozdarowywano jenerałom i urzędnikom moskiewskim (r. 1834). Zaprowadzony sąd wojenny i *komisye śledcze*, urzędujące potem przez długie lata w Warszawie, Wilnie i Kijowie, w nieludzki i okrutny sposób wymuszały na więźniach potrzebne zeznania. Ohydną pamięć tych strasznych znęcań się zostawili po sobie szczególnie Lejchte w Warszawie, kniaź Trubecki w Wilnie, Pisarew i generał gubernator Bibikow w Kijowie. W Warszawie i Wilnie wzniesione zostały warowne twierdze t. zw. *cytadele*[4]) Górując nad miastami ponure te mury zdawały się wołać i ostrzegać uciemiężoną ludność:

— Na was to, jak na dzikie zwierzęta, zbudowane zostałyśmy tylko piśnijcie i bądźcie nieposłuszni, a wrzucą was na zawsze do naszych ciemnic, gdzie straszny los was czeka![5])

Przy ujściu Wieprza do Wisły wzniesiono silną twierdzę Iwangorod, a wzmocniono Brześć Litewski i Modlin, który nazwano Nowo-Georgiewskiem.

(Ciąg dalszy nastąpił).

---

[1]) *Emigrant,* z łac., wychodźca z ojczyzny.

[2]) *Cywilna śmierć,* jest to stan osoby, pozbawionej za życia wszelkich praw cywilnych. Według kodeksu Napoleona śmierć taka pociąga za sobą: 1) utratę praw obywatelskich i politycznych; 2) zerwanie związków familijnych i pokrewieństwa; 3) utratę całego majątku, który przechodzi na następców skazanego, tak jak gdyby skazany zmarł rzeczywiście i to bez testamentu.

[3]) Konfiskacya lub konfiskata, z łac., zabranie majątku na rzecz skarbu.

[4]) *Cytadela,* z włosk., miasteczko; twierdza w mieście lub za miastem, w której może się pomieścić 3000—5000 wojska.

[5]) — Ja nie jestem już królem polskim, — mówił car Mikołaj do deputacyi, będąc w Warszawie w październiku 1835 r. — jestem tu jako cesarz Rosyi! O, ja znam was dobrze, wy, jesteście i będziecie zawsze ciż sami. Ta to ojczyzna urojona uczyniła was nieszczęśliwymi i uczyni jeszcze nieszczęśliwszymi. Wy poddajecie się tylko materyalnej sile. Ja się jej trzymam. I dla tego z wami tylko siłą działać mogę. Dla was to i waszym kosztem kazałem zbudować cytadelę (4 maja 1834). Skoro tylko będzie potrzeba, każę spalić miasto w 24 godzinach. Tak, powtarzam wam to — każę spalić, a potem się pocieszę. Bądźcie pewni, że ja nie pomyślę o odbudowaniu miasta! — Limanowski, 226.

zwłoki jej pochowano na — *święconem* miejscu. A przecież według przepisów Kościoła świętego, według nauki jego — samobójcy mają być osobno chowani, w niepoświęconej ziemi. Ależ małą Staniszewską nie rozbrat z sumieniem, nie słabość ludzka ani lekkomyślność popchnęła do tego czynu rozpaczy — lecz pchnął ją ból serdeczny, że cierpi niewinnie, że dzieje jej się krzywda!

Krzywda! Zdawałoby się, że co do tego wśród ludzi zapanuje jednolity pogląd. Kto drugiemu wyrządza niesprawiedliwość, ten krzywdzi go. Zdaje się to być tak jasne, że nie potrzeba żadnych do tego objaśnień.

A jednak przewrotny umysł ludzki wynalazł sposób przeistoczenia dobrego na złe, złego na rzekome dobre. I stworzono — odmienne od Boskich — ludzkie prawa! Napisano je, ujęto w kodeksy. A na obronę tych kodeksów napisano inne kodeksy. I dziś trudno rozsądzać, gdzie poczyna się prawo nadane od Boga, a gdzie — kodeks napisany przez ludzi. I często bardzo dwa te prawa stoją w sprzeczności. Co Boskie prawo nazywa — krzywdą, o czem powiada: nie czyń, co tobie niemiło! — o tem ludzkie prawo głosi: czyń, bo tak chce racya stanu, tak dyktuje rozum polityczny.

I wtenczas krzywda według praw Boskich nazywa się — korzyścią według politycznej racyi stanu, za którą stoi kodeks praw ludzkich. I łudzą umysł ludzki chwilowe zdobycze osiągnięte względami na racyę stanu. Łudzą i bałamucą. Myśl zamiast ku źródłu odwiecznych praw zwracają ku prawom racyi stanu, prawom zmiennym, tworzonym chwilowymi potrzebami, prawom przemijającym jak wszystko co ludzkie.

W tej chwili nam to sobie przypomnieć należy. Racya stanu święci bowiem chwilowe tryumfy, ale tryumfy te wzniesione na krzywdach, a krzywdy te odczuwają nawet nieletnie dzieci i dobrowolnie idą na śmierć.

I są to dla nas okropne dzieje. Każdy ojciec i matka drży o życie swoich dziatek. Szczęściem, że prawa i dzieła ludzkie są zmienne, że przemijają, a tem bardziej przemijają, gdy są złe.

To przeświadczenie w tej chwili podtrzymuje w nas ducha — przeświadczenie, że my mamy za sobą niezmienne, odwieczne prawa Boskie, i że cierpimy tylko — przez przewrotność i złość ludzką, której prędzej czy później kres będzie! *Is.*

Francuz — o sprawie polskiej.

Paryż, we wrześniu 1907 r.

Anatol Leroy-Beaulieu, członek Instytutu, dyrektor paryskiej Szkoły Nauk Politycznych, znany w Europie jako najlepszy zapewne we Francyi znawca Rosyi do której co pewien czas się udaje celem studyów naukowych (jak zresztą i przed napisaniem obecnej rozprawy), i o której ogłosił szereg książek lub rozpraw, zamieścił w ostatnim zeszycie *Revue des Deux Mandes* (z dnia 15-go b. m. str. 361—400) wielki artykuł polityczny p. t.: *Entre deux rives.* (Między dwoma brzegami), a na temat: *„Rosya w przededniu trzeciej Dumy.“* Na czoło tego artykułu wysuwa się, na tle wpływów prusko-niemieckich na politykę rosyjską, sprawa polska. Że taki był ten zamiar autora widać z tego, iż tę właśnie część artykułu ogłosił on równocześnie, dla większego rozpowszechnienia, na dzień przed wyjściem *Revue des deux mondes* w dzienniku *Jaurnal des Debats* (z dn. 15. IX. 07).

W artykule tym A. Leroy-Beaulieu: 1) wskazuje z niezwykłym naciskiem *ważność sprawy polskiej w polityce międzynarodowej;* 2) uważa za rzecz niezbitą — fakt *nacisku pruskiego* na politykę polską Rosyi; 3) *piętnuje upośledzenie Polaków* w nowej ordynacyi wyborczej rosyjskiej, 4) uważa *uznanie dla dotychczasowej polityki posłów polskich w Dumie;* 5) uważa *za przyrodzoną konieczność nadania Królestwu Autonomii.*

Oto odnośne części artykułu:

„Rzeczą bardziej jeszcze pewną (niż wpływ Niemców na reakcyjność polityki rosyjskiej w całej Rosyi) i jedyną może, *która nie ulega wątpliwości,* jest to, że w tej gmatwaninie spraw rosyjskich istnieje jednak dziedzina,, która nigdy nie była obojętna dyplomacyi niemieckiej i na którą z ministerstw Berlina zawsze jednakowo się zapatrują: tym *punktem stałym polityki pruskiej w Rosyi* jest, czyż trzeba to przypominać, *sprawa polska.*

„Tam to właśnie, w Królestwie Polskiem, przeciw temu żywotnemu narodowi polskiemu, który opiera się przy tem, by nie umrzeć, *spotkały się ze sobą* i wzajemnie sobie służą zamiary *Niemców i Ligi „ludzi prawdziwie rosyjskich.“* Nie było im na to potrzeba formalnego porozumienia: „prawdziwi Rosyanie“ mu-

Z teatru.

„Zażarty automobilista,“ komedya w 3-ch aktach K. Kraatza, przełożył M. Sachorowski, oto, co czytaliśmy na afiszach w ubiegłą sobotę i ostatnią środę.

Komedya? Nie. Od komedyi czegoś więcej się wymaga, niż to dała sztuka Kraatza. Od komedyi żądamy prawdy, logiki w przeprowadzeniu akcyi, charakterów jasno i ostro zarysowanych, komiki, wypływającej z charakteru działających osób. Chcemy widzieć kawał życia ludzkiego, pragniemy śmiać się ze łzą w oku. Tego wszystkiego próżno szukać będziemy w sobotniej premierze.

Autorowi, jeżeli chodziło o napisanie dzieła sztuki, natenczas nie udało mu się dopiąć celu. Jeżeli jednakże chciał tylko odstawić zręczną robotę sceniczną, sfabrykować sztukę, pobudzającą do taniej i hałaśliwej wesołości, to rezultat ukoronował zamiar. Napisał farsę pełną życia i ruchu, porywającą komiką, wprawdzie nie tą prawdziwą, mającą swe źródło w istocie działających osób, lecz jej surogatem, komiką sytuacyjną.

W szeregu scen, które się przesunęły przed oczyma widza, były niektóre tak wyborne, że należy być z wszelkiem uznaniem dla pomysłowości autora. Także w narysowaniu charakterów głównych osób był dość szczęśliwy. Fabuła sztuki, zawiła wprawdzie, ale za to pełna najbardziej niespodziewanych zawikłań, zajmowała. Tu i owdzie znalazło się coś podobnego do humoru, gdzieniegdzie dowcip okrasił potok wymowy, to znów trochę taniego sarkazmu na koszt modernizmu pobudzało do wesołości słuchacza.

Tego rodzaju sztuki stawiają zazwyczaj dość wielkie wymogi do aktora. On to zręcznym gestem ma przychodzić w pomoc autorowi i wlewać ciepłe życie w bezduszne formy.

Na ogół wywiązali się artyści bardzo dobrze z zadania. Zespół pozostawiał do życzenia wprawdzie, lecz to objaw zwyczajny na początku sezonu. Mimo to grano sztukę w bardzo ożywionem tempie z życiem i werwą, co oczywiście wyszło na korzyść całości.

Nie ma tu racyi odpisywać afiszu i cenzurować artystów. Pragnęlibyśmy jednak podnieść z uznaniem grę pana Rygera młodszego, który zdaje się być inteligentnym i wytwornym artystą. Również gra pp. Poleńskiego i Szatkowskiego szczególniejszej się domaga wzmianki. Z pań p. Stępkowska świetnie wywiązała się z zadania.

Mniej dobrze sprawował się sufler, którego było można słyszeć na balkonie pierwszego piętra wybornie

sieli w swej kampanii antypolskiej znaleść naturalnych sojuszników w pangermanach Niemiec, w hakatystach Prus.

„Nie to jest rzeczą dziwną, że oba te obozy działały spontanicznie w tym samym duchu, gdyż idą oni za wspólną nienawiścią polskości. Ale jest rzeczą dziwną, że taka wspólna akcya nie zaniepokoiła jednak nikogo w Petersburgu i w Moskwie. Jako Rosyanie i jako Słowianie powinniby sobie może powiedzieć ci „prawdziwi rosyjscy ludzie,“ że nie ich rzeczą pomagać zdeklarowanym wrogom Słowiańszczyzny w walce z jednym z narodów słowiańskich.

„Lecz na taki zarzut odpowiedzą oni, iż jest to tylko dalszy ciąg polityki carów z dwu ostatnich wieków. W rzeczy samej, od trzech rozbiorów, poczętych przez Fryderyka i Katarzynę, Polska ujarzmiona była jakby łańcuchem, który, mimo trwałych antypatyi wzajemnych, powiązał ze sobą te dwie polityki i rosyjską i pruską.

„Często mówi się u nas, we Francyi, że nad polityką europejską góruje kwestya alzacko-lotaryńska. Lecz historya może to sama niemal powiedzieć o sprawie polskiej. A tak jak było to prawdziwem w wieku XVIII. i XIX., tak samo może to powrócić, chociaż może w inny sposób i w odmiennym kierunku, w wieku XX.

„Przez Polskę, przez usłużność w czasie niepolitycznego powstania z r. 1863, zapewnił sobie Bismark życzliwą neutralność Rosyi na czas trzech swych wojen z Danią, z Austryą i Francyą. Niemcy gotowi teraz naśladować go pod tym względem i podjąć na nowo, w stosunku do Petersburga, tę politykę zobowiązań i usłużności z r. 1863. Nieraz mówiono o tem, że w czasie wojny mandżurskiej Niemcy ofiarowali Mikołajowi II pomoc swych ułanów i grenadyerów pruskich na wypadek gdyby Polacy niepoprawni w powstaniach, chcieli naśladować bohaterstwo ojców swych z r. 1863.

„Ale do tego nie przyszło. Polacy, pozostający patryotami, wiernymi zawsze tak samo swej wielkiej przyszłości, bardzo się zmienili w ostatnim półwieku... Podczas, gdy dawniej oczekiwano odrodzenia narodu jedynie w buncie przeciw carom, Polacy dzisiejsi gotowi są go szukać w porozumieniu się ze swymi słowiańskimi pobratymcami w Rosyi....

To właśnie niepokoi Niemców.

„Powstanie polskie przeciw Rosyi daleko bardziej podobałoby się patronom Ostmarkenverajnu. Byłby to dla polityki pruskiej zysk podwójny. Z jednej strony sprowadziłoby się Rosyę do dawnego sojuszu, pomagając jej w pokonaniu powstańców. Z drugiej strony pokazałoby się tym upartym dzieciom polskim w zaborze pruskim, że na nic się nie przyda opór przeciw germanizacyi, że trzeba się pogodzić z tem, pod trzciną nauczyciela pruskiego, by już tylko po niemiecku modlić się do tego Boga.

„Pogodzenie się zaś słowiańskich Polaków ze słowiańskimi Rosyanami wzmocniłoby nadzieję w Polakach zaboru pruskiego, pomogłoby polskości wszędzie się pokrzepić przeciw niemczyźnie, sprowadziłoby zgodę w świecie słowiańskim na niekorzyść germańskiego *Drang nach Osten*....

„*Łatwo zrozumieć* usiłowania dyplomacyi *niemieckiej*, by usunąć podobne niebezpieczeństwo. Ale rzecz *dziwna*, że w Rosyi znalazło się *stronnictwo, które sekunduje widokom germańskim*, a także się znalazł *rząd, który im czyni zadość*.

„Bo to właśnie uwydatniło się w nowej ordynacyi wyborczej.

„Już od dwu lat uchodziło to w polityce rosyjskiej za rzecz pewną, że główna przeszkoda narodowych żądań polskich znajduje się raczej w Berlinie niż w Petersburgu. Mówiono nawet, może z pewną przesadą, że Niemcy założyli formalne voto przeciw autonomii polskiej. Dla Rosyan był to wygodny sposób odpowiadania na żądania polskie. Polacy zaś czuli, że ich rewindykacye nawet najbardziej umiarkowane nie ziszczą się tak prędko jakto obiecywali rosyjscy liberali. Ale ostatecznie oczekiwali oni pewnej zwłoki, lecz nie wyraźnej reakcyi. Tymczasem nowa ordynacya wyborcza *usprawiedliwia chyba pogląd polskich socyalistów rewolucyjnych*, że nie należy myśleć o jakiemkolwiek porozumieniu z caratem i że rząd carski poświęci Polaków ich wrogom wewnętrznym i zewnętrznym.

„Królestwo Polskie miało w 1-szej i w 2-giej Dumie 36 posłów, nie licząc Polaków wybranych na Litwie i Rusi. Nowa ordynacya sprowadziła tę liczbę do 12, tak że Polakom odebrano za jednem pociągnięciem pióra, dwie trzecie ich przedstawicielstwa. Podczas gdy w rdzennej Rosyi przypada 1 poseł na 200,000 lub 250,000 mieszkańców, to w Królestwie na 800,000 lub 900,000.

Polacy tem mniej byli przygotowani na podobne postąpienie, że w obu Dumach dotychczasowych *posłowie polscy okazali się najroztropniejszymi może*, a nawet, rzecby można, najbardziej konserwatywnymi ze wszystkich posłów Pałacu Taurydzkiego. Wszak wielki powieściopisarz norwegski, Bjoernstjerne Bjoernson, oskarżał ich nawet, że zaprzedali się potajemnie rządowi rosyjskiemu!...

W drugiej Dumie (podobnie jak w pierwszej) Polacy trzymali się zdala partyi gwałtownych. Zazwyczaj głosowali razem z centrum, to zn. z kadetami już złagodniałymi. Dzięki ich porozumieniu z kadetami i umiarkowanymi żywiołami odrzucono wszystkie rewolucyjne propozycye skrajnej lewicy, a budżet studyowano poważnie i uchwalenie jego było zapewnione. Co więcej, jeżeli ustawa o poborze rekruta znalazła większość, jeżeli Duma przyjęła i sam projekt i cyfrę ministra wojen *naród zawdzięcza to Kołu Polskiemu*. Uchwalenie ustawy wojskowej dało nawet powód, w czasie mego pobytu w Petersburgu, do manifestacyi, która wzruszyła Dumę i prasę, ucieszyła wszystkich przyjaciół Rosyi.. Przed głosowaniem, Polacy, *którzy umieli stworzyć grupę ściśle związaną i karną*, złożyli deklaracyę, że jeżeli zgadzają się na udzielenie rządowi wymaganej liczby rekruta, to dlatego, aby mógł on zachować potęgę państwową i zabezpieczyć wszystkie swe narodowości...

Jakżeż to stać się mogło, że interesy polityki *niemieckiej* i niewczesne namiętności *„Ligi prawdziwych Rosyan“* umiały obrócić przeciw Polakom i przeciw polityce pojednania *rozważne postępowanie posłów polskich* i ich deklaracye na rzecz armii i potęgi rosyjskiej?

„Prawdziwie rosyjscy ludzie“ wsparci wpływami germańskimi, zdołali dopiąć tego celu, prowokując przeciw Kołu Polskiemu starą dumę moskiewską. Przedstawiali opinii publicznej, ministrom, carowi, że jest rzeczą niebezpieczną i poniżającą dla Rosyi, by głosowania w Dumie zależały od Polaków, „innorodców“, ludzi innej czci i wiary...

Rząd zmniejszył ilość posłów innych narodowości do liczby minimalnej, tak aby ich ubezwładnić. Rezultatem takiej polityki będzie, iż podrażni się te narodowości i *rzuci w politykę opozycyi, a może konspiracyi*... Pod tym względem polityka gabinetu Wittego była, zdaje się, rozważniejsza, jako *jedyna wielko-państwowa*...

„Prawdziwi Rosyanie“ głoszą, że jest poniżającem dla Rosyi, aby w ręku Polaków była rola arbitrów między stronnictwami rosyjskiemi. Lecz przecież Anglicy pozostają w parlamencie w stosunku podobnym a nawet bardziej niekorzystnym do Ir-

landczyków. Duma brytańska nie czuje się jednak wcale upokorzoną, a nawet toleruje, w myśl aktu Unii, że liczba posłów irlandzkich jest wyższą niż przypadałoby w porównaniu z Anglią. *Czy godne to Rosyi,* aby okazała się ona wobec Polaków mniej sprawiedliwą niż Anglia wobec Irlandyi?

Istnieje zresztą sposób zmniejszenia wpływu Polaków na Dumę rosyjską bez zranienia ich. Sami Polacy wskazali go: *wznowić (retablir) autonomie Królestwa Polskiego.* Wielu Rosyan uważa tę rzecz za możliwą i zgodną z interesami obu narodów. Polacy, inaczej niż w czasie marzeń lat 1830, 1848, 1863, nie żądają rządu autonomicznego zupełnie analogicznego z finlandzkim: zadowoliliby się autonomią administracyjną. *Życzenie to jest tak naturalne (le volu est si naturel),* że, bez veta z Berlina, możnaby się spodziewać rychłego jego ziszczenia.

Czy się to nazwie autonomią czy nie, *będzie się musiało* dać Polsce urządzenia własne. *Tylko za tę cenę nastąpi uspokojenie* i wszyscy Rosyanie oświeceni są tego zdania. Rosya jest za duża na to, aby można administrować nią jak bezwładną maszyną, za pomocą jednolitego mechanizmu, zainstalowanego u ujścia Newy. Ustrój konstytucyjny nie będzie mógł w niej fungować bez oparcia się na szerokim *self governement* miejscowym. W Rosyi, bardziej jeszcze niż gdzieindziej, wolności polityczne mogą mieć trwałą podstawę jedynie w *wolnościach miejscowych.* A z wolności politycznych nie długo już da się robić przywilej Rosyan prawosławnych, ponieważ narodowości nieprawosławne wcale *nie ustępują im ani pod względem inteligencyi, ani kultury, ani energii.* Traktować je jako rasy niższe, to znaczy, popełnić względem nich *niesprawiedliwość,* której oni żadną miarą nie przebaczą.

„W praktyce różnice narodowe zlewają się zwykle z wyznaniowemi... I tak Warszawa będzie miała jednego tylko posła na 800,000 mieszkańców katolickich lub żydowskich, a kilka tysięcy prawosławnych, prawie wyłącznie urzędników, mieszkających w stolicy Polski, będzie także miało jednego posła. Nad brzegami Wisły 1 głos prawosławny będzie miał zatem wartość około 500 głosów katolickich lub żydowskich.

„Nie zgadza się to z najbardziej szlachetnem postanowieniem ukazu cara Mikołaja II z kwietnia 1905 r., który wszystkim poddanym rosyjskim udzielił *wolność religijną.* W Rosyi jak gdzieindziej wolność religijna może być pełna i pewna jedynie w związku *z wolnością polityczną.*"

Anglia i Rosya.

Wspominaliśmy niedawno o układzie angielsko-rosyjskim. Układ ten zatwierdzony kilka dni temu stanowi pierwszorzędny wypadek polityczny w polityce ogólnoświatowej. Kładzie on na czas długi kres głuchej ale wyraźnej walce, jaka toczyła się od dawna pomiędzy Anglią a Rosyą o wpływy i panowanie w Azyi. Walka ta w ostatnim dziesiątku lat przed wojną rosyjsko-japońską nadawała po prostu ton całej grze międzynarodowej.

Anglia oddawna dokładała usiłowań, ażeby dojść do porozumienia z groźną przeciwniczką azyatycką, ale przed wojną było to rzeczą niesłychanie trudną. Potęga rosyjska przedstawiała się tak imponująco, święciła takie tryumfy na lądzie azyatyckim, że dyplomacya rosyjska nie miała wcale ochoty zawierać umowy, która z natury rzeczy musiałaby jej krępować swobodę ruchów. Były prądy polityczne w Rosyi, które domagały się, ażeby Rosya nie spoczęła, aż rozciągnie panowanie swe nad całą Azyą.

Anglii, rzecz prosta, chodzi o rynki azyatyckie, ale główny jej cel *polityczny* w Azyi to zabezpieczenie panowania brytańskiego w *Indyach.* Jeżeli stara się o utrwalenie swych wpływów w krajach przyległych, czyni to w tym przeważnie celu, ażeby twierdzę indyjską otoczyć wałem bezpiecznym, na którym nieprzyjaciel nie mógłby zawczasu wznieść szańców oblężniczych. Temi słowami określił zadania azyatyckie Wielkiej Brytanii poprzedni wicekról Indyi, lord Curzon, który w myśl swej zasady wysłał wyprawę zbrojną do stolicy Tybetu.

Bądźcobądź nawet ambitny i energiczny wicekról, przygotowując różne środki przeciw Rosyi, miał na celu wyłącznie obronę. Ani jemu ani żadnemu chyba z mężów stanu angielskich nie przychodziły do głowy zamiary atakowania posiadłości Rosyi. Przewaga militarna z tamtej strony tak była widoczna, że królowa mórz na granicy możliwego starcia mogła myśleć tylko o obronie. I obrona zresztą z rokiem każdym musiała się wydawać trudniejszą. To też porozumienia z Rosyą pragnęły oba wielkie stronnictwa angielskie, tylko że konserwatyści nie wierzyli w jego możliwość i woleli się zabezpieczać od Rosyi przez szachowanie jej z różnych stron, a liberałowie uprawiali rusofilski kierunek i w interesie owej pożądanej zgody decydowali się pójść o wiele dalej niż zachowawcy. Ci bowiem uważali, że potęga rosyjska już tak zbliżyła się do granic Indyi, że na dalsze kroki w tym kierunku lepiej odpowiedzieć walką zbrojną, niż czekać aż groźny wróg założy tuż u wrót Indyi silną podstawę operacyjną i sam do walki wystąpi z wszelkimi szansami zwycięstwa. Liberałowie skłonni byli oceniać sytuacyę mniej czarno, wypowiadając nieraz przekonanie, że Rosya nie skorzysta ze swej przewagi militarnej ani z bliskiego sąsiedztwa dla zaboru Indyi. Zamiast tedy stawiać jej przeszkody, należy zgodzić się na to, co uważa ona dla siebie za konieczne. Na rok przed wojną wybitny członek stronnictwa liberalnego i znawca Azyi, Henry Norman, wyraźnie wypowiedział zdanie, że Rosya musi mieć port w zatoce perskiej i że Anglia powinna się na to zgodzić. Atoli u steru stał wtedy gabinet torysowski, który o niczem podobnem nie chciał słyszeć. Do trwalszego porozumienia pomiędzy obydwoma mocarstwami nie było wówczas gruntu.

Stworzyły grunt ten dopiero klęski mandżurskie. Rosya targana rozprężeniem wewnętrznem i mająca przed sobą olbrzymią pracę reorganizacyjną, okazała się chętną do zawarcia umowy na takich warunkach, o jakich dawniej nie mogło być mowy. Dyplomacya angielska pochwyciła skwapliwie pomyślny moment i zawiązała w Petersburgu odpowiednie rokowania. Nie były one łatwe i wlokły się dość powoli. Wreszcie po kilkunastu miesiącach wydały obecnie owoc w postaci konwencyi, usuwającej wszelkie sporne kwestye na terenie zachodniej Azyi. Układ dotyczy trzech państw: Persyi, Afganistanu i Tybetu.

Obie strony, uznając całość i niepodległość Persyi, wyznaczają jednak sfery wpływów rosyjskich i angielskich. Każda ze stron otrzymuje w swojej sferze monopol na wszelkie możliwe koncesye, oraz przedsiębiorstwa i może również poszukiwać ich w trzeciej neutralnej sferze, która nie należy do żadnej ze stron i pozostaje terenem wolnej konkurencyi. Oba mocarstwa, każde w sferze wpływu, sprawują kontrolę nad urzędami celnemi i w razie jakichś zatargów mają działać razem na mocy poprzedniego porozumienia. Dzienniki angielskie dość zgodnie zaznaczają, że sir Edward

Grey zrobił na terenie perskim znaczne ustępstwa, pocieszając się jednak tem, że Rosya uznała wyjątkowe stanowisko Wielkiej Brytanii w zatoce Perskiej.

Co do Afganistanu, to Anglia zobowiązuje się nie zmieniać jego ustroju i wogóle nie mieszać się do wewnętrznych spraw tego państwa i nie zabierać żadnej jego części. Obiecuje także nie podburzać Afganistów przeciw Rosyi. Ta ze swej strony oświadcza, że Afganistan leży po za sferą jej interesów i zobowiązuje sie nie utrzymywać z nim stosunków politycznych inaczej, jak tylko za pośrednictwem rządu Wielkiej Brytanii.

Pod względem handlowym oba mocarstwa korzystają z jednakowych praw.

Tybet ma pozostać pod zwierzchnictwem Chin nie tylko nominalnie, ale i faktycznie. Ani jedno z układających się mocarstw nie będzie domagało się jakichkolwiek koncesyi i nie będzie miało w Lassie posłów, Anglia potwierdza przyrzeczenie co do opuszczenia doliny Czumbi, o ile otrzyma od rządu tybetańskiego kontrybucyę. Oba mocarstwa w przeciągu najbliższych trzech lat mają się wstrzymać nawet od wypraw naukowych.

Tak w streszczeniu przedstawiają się warunki układu. Rosya traci swobodę ruchów w Tybecie i Afganistanie, zrzeka się wpływu w południowej Persyi, natomiast otrzymuje znaczne korzyści w północnej części tego kraju. Anglia prócz gwarancyi bezpieczeństwa dla Afganistanu, Tybetu i zatoki Perskiej otrzymuje jeszcze jako rękojmię całości Indyi dobre stosunki z Rosyą. O ile sądzić można z głosów prasy rosyjskiej i angielskiej, to naogół i tu i tam z umowy są zadowoleni.

Jak daleko porozumienie rosyjsko-angielskie odbije się na ogólne położenie międzynarodowe, to w chwili obecnej pozostaje jeszcze tajemnicą. Są jednakże głosy prasy rosyjskiej, które zdają się wskazywać kierunek, w którym zwróci się w przyszłości ostrze polityki angielskiej. „Nowoje Wremia“ powiada dyplomatycznie, że układ rosyjsko-angielski tak dobrze może przysłużyć się sprawie pokoju jak przyspieszyć wojnę.

Czyżby „Nowoje Wremia“ miały spory Anglii z Niemcami na myśli? Może. Lecz nie trzeba zapomnieć o tem, że Niemcy w stosunku do Anglii zmieniły już swoją politykę. Widocznie przewidziały porozumienie między Rosyą a Anglią, przewidziały, że Anglia, pozbywszy się kłopotu i obaw przed Rosyą w Azyi, może potęgę swoją kierować przeciwko nim. Niemcy bardzo się namyślą, zanim wywołają wojnę z Anglią. Zbyt wiele im zależy na handlu zamorskim, któremu Anglia w razie wojny położyłaby tamę. A nie sądzimy, ażeby Anglia rozmyślnie sprowokowała wojnę prędzej, aniżeli ją konieczność do tego zmusi.

W każdym razie dla nas jako dość blisko interesowanych rozpocznie się ciekawa gra polityczna.

Przegląd prasy.

Ciekawy nam z Prus Zach. przychodzi zanotować objaw opinii publicznej.

Wiemy wszyscy dobrze jak znaczne pole do obywatelskiej działalności mają księża u nas. Wiemy, ile robią, i wdzięczne im jest za ich pracę całe społeczeństwo.

Tu mowa o Księstwie, gdzie liczebnie przecież polskość jest w znacznej przewadze nad niemczyzną, gdzie znaczna ilość jest inteligencyi świeckiej. Cóż powiedzieć o potrzebie i działalności duchowieństwa zachodnio-pruskiego? Przecież tam żywioł polski na pół prawie zmieszany jest z niemczyzną, mało jest inteligencyi świeckiej, zadanie księży polskich trudniejsze, bo obszerniejsze, ale też za to jeszcze bardziej zasługujące na uznanie, o ile bywa spełniane.

Tyle dla oznaczenia roli księży u nas i w Prusach Zach. Lecz nie o działalności narodowej księży mówić pragniemy, raczej chcemy wskazać objaw opinii ich sięgający w dziedzinę kościelną. Objaw ten notujemy dla tego, ponieważ wychodzi z podłoża polskiego. Wagi dodaje mu to, że określa on rolę N. ks. biskupa chełmińskiego w strejku szkolnym i daje miarę, jakim jest stósunek biskupa do księży polskich. Głos ten pochodzi od „grona kapłanów polskich,“ które ogłosiło swój artykuł w *„Gazecie Gdańskiej“* i *„Grudziądzkiej.“*

Autorzy opisują znaczenie okólnika ś. p. N. ks. arcybiskupa Stablewskiego, współudział biskupów, księży i ludu katolickiego w walce kulturnej pierwszej i w czasie strejku, potem zadają sobie pytanie; *a jakże było w naszej dyecezyi chełmińskiej* — i tak odpowiadają na nie:

> „I tu był niemniejszy wcale zapał nie tylko u rodziców, ale u bardzo wielu kapłanów. Ale brak nam było wszelkiego współczucia ze strony naszego Najprzew. ks. biskupa, który od samego początku do dnia dzisiejszego dla swoich owieczek polskich okazał się obojętnym. — Posłuchajmy! Ks. biskup nie raczył odpowiedzieć ani jednem słówkiem na prośby setek tysięcy swoich owieczek. W ten sam dzień, w którym zasądzono naszych 8 księży z powiatu lubawskiego na dotkliwą karę więzienną, pospieszył Najprzew. ks. biskup do Gdańska na ucztę, na którą go zaprosić raczył prezes rejencyi w Gdańsku.
>
> Czy tak robi ojciec lub matka, kiedy dzieci ciężki los spotka? — Od tego czasu upłynęło więcej jak pół roku; ks. biskup ani słówkiem — nawet w swoim liście pasterskim postnym — nie wspomniał o naszych dzieciach: serce dla nich jakby skamieniało — jakby nas już nie zaliczał do swoich owieczek.“

Owo „grono księży“ obawia się, że skutek takiej obojętności ks. biskupa względem polskich księży i ich orzeczeń będzie ten, że:

> „miłość i przywiązanie dla naszego ks. pasterza, które z początku było prawie bez granic — a teraz już tylko się tli — wygaśnie zupełnie i pozostanie tylko zimny popiół.“

Tak piszą księża, nie w listach prywatnych, nie poufnie, ale odzywają się publicznie w pismach. Jestto dowód, że wśród duchowieństwa polskiego Prus Zach. panuje wielkie niezadowolenie z polityki ks. biskupa.

Na tle tego artykułu rozumiemy teraz fakt, że kilku księży dekanatu lubawskiego *samodzielnie* podjęło się akcyi w sprawie obrony nauki religii w języku polskim w szkole.

* * *

Jakże żywo odbija od owego rozdziału biskupa od księży i dusz katolickich serdeczne przywiązanie parafian do swoich duszpasterzy. Świeżo tego mamy dowód z okazyi zasądzenia i uwięzienia ks. prob. Olszewskiego z Osieka w tychże samych Prusach Zachodnich. Pisze o tem ktoś z parafii do *„Pielgrzyma“* między innemi tak:

> „A my parafianie cóż na to? Chodzimy, jak zbłąkane owce bez pasterza, chodzimy w boleści i smutku wzajemnym. Wzięto nam naszego drogiego Księdza Proboszcza za nas, to też i my o nim nigdy nie zapomnimy i odtąd więcej, niż kiedykolwiek, strzedz będziemy naszej wiary świętej katolickiej i naszego drogiego języka polskiego. Nie ma pasterza, ale my będziemy tem więcej sami czuwali nad sobą.
>
> Zniemczyć i zlutrzyć nie damy się, choćby pasy z nas ciągnięto, więc daremne wszelkie wysiłki w tym względzie. Nie, ani dobrowolnie, ani przemocą i choćby całe piekło sprzysięgło się na nas, my jednak zostaniemy tem, czem jesteśmy, to jest Polakami-katolikami.

Wyrok pruskiego sądu w Starogardzie otworzy teraz oczy tym wszystkim,

którzy to dotąd niedowierzali niebezpieczeństwu nam grożącemu i nieraz swojem gorszącem postępowaniem bicz kręcili na swą własną skórę. Teraz z pewnością otworzą im się oczy i postąpią sobie tak, jak tego honor polski i sumienie nakazuje. A dużo mamy jeszcze we wiosce naszej takich, którzy popierają wrogów naszych, naigrawających się z nas i z naszych świętości katolickich. To wreszcie ustać powinno. Teraz więcej, niż dawniej, złączyć się nam trzeba i w zgodzie i miłości wzajemnej do polepszenia bytu i obrony dążyć.

Boga Najwyższego zaś prosimy, ażeby naszego ukochanego Księdza Proboszcza miał w swej opiece i dodał mu sił i otuchy do przetrawienia tej długiej kaźni więziennej."

List ten kończy się zapewnieniem, że parafianie nigdy o swym kapłanie-męczenniku nie zapomną. Tam zobojętnienie, brak nuty serdecznej, nawet ton oskarżenia — tu głębokie przywiązanie, szacunek szczery i prawdziwy. A przecież u ludu naszego tak nietrudno uzyskać i jedno i drugie, szczególnie gdy się jest księdzem, a zwłaszcza biskupem!

* * *

Pozostając jeszcze przy sprawach kościelnych, należy nam zanotować komunikat *„Dziennika Berlińskiego"* o tem, że rodacy nasi, parafianie kościoła N. M. Panny, u którego proboszczem jest ks. Jeder, dotąd nie uzyskali w tymże kościele żadnego ustępstwa na korzyść języka polskiego.

Przypominamy tutaj po krótce przebieg tej sprawy. Gdy polscy parafianie kościoła N. M. Panny petycyami i prośbami u ks. proboszcza, u delegata biskupiego ks. Kleineidama i u ks. kardynała Koppa, nic nie wskórali, postanowili kościół N. M. Panny omijać. Postanowienie to znane pod mianem bojkotu kościoła N. M. Panny. Po pewnym czasie weszli rodacy nasi ponownie na drogę próśb. Wtenczas ks. Jeder zażądał przedewszystkiem oficyalnego zaniechania bojkotu. Urządzony z powodu tego wiec zamanifestował uległość Polaków wobec władz kościelnych.

Wtenczas ks. Jeder znowu ich odesłał do delegata biskupiego — a ten dał na wszelkie przedstawienia odpowiedź odmowną.

Obecnie panuje wśród Polaków z powodu tej sprawy wielkie rozgoryczenie. „Dzien. Berl." zapowiada, że sprawa ta teraz oprze się o papieża i o Rzym.

* * *

Pomysł hakatystyczny w sprawie wywłaszczenia w ostatnim czasie nieco przycichł. Nie wiadomo oczywiście, co się w tej sprawie za kulisami dzieje. Tem bardziej należy notować objawy opinii niemieckiej przeciwko temu pomysłowi, a szczególnie gdy opinia ta pochodzi od powag prawniczych i w poważnych znajduje się organach prasy.

„Deutsche Juristenzeitung" umieszcza w tej sprawie artykuł *dr. Stranza*, radcy sprawiedliwości z Berlina, który tak pisze między innemi:

„Pruskie prawodawstwo krajowe nie jest w stanie stworzyć prawa protestu przeciwko przechodzeniu własności ziemskiej w ręce polskie. Przeszkodę stanowią prawa rzeszy niemieckiej, które takiego ograniczenia sprzedaży gruntów ani nie znają, ani nie dozwalają. W tej myśli wypadło też orzeczenie znawców miarodajnych urzędów pruskich. Natomiast ze strony rzeszy nie istnieje żadna przeszkoda przeciwko rozszerzeniu wywłaszczenia, którego z wielu stron sobie życzono. Ze stanowiska prawniczego — stanowisko polityczne nie wchodzi tutaj w rachubę — poważne wątpliwości odradzają od przeprowadzenia zamiaru. I przy wywłaszczeniu nie można usuwać kwestyi prawa, lub bezprawia. Własność jest nietykalną (art. 9 konstytucyi). Oczywiście, jeżeli dobro publiczne koniecznie tego wymaga, natenczas wyjątki są dozwolone. Wyjątki te jednak nie powinny zwracać się jako... „czyny nieprzyjacielskie" przeciwko pewnym, poszczególnym warstwom ludności, nie powinny zagrażać równouprawnieniu obywatelskiemu."

* * *

W tych dniach złożono pod gmach towarzyski berlińskiego towarzystwa nauczycieli kamień węgielny. Przy okazyi tej wygłosił następca dra Studta minister oświecenia dr. Holle mowę, w której takie wypowiada o zadaniu szkoły swoje zapatrywanie:

„wielkiem zadaniem szkoły ludowej jest, wychowywać młodzież dorastającą na dzielnych ludzi — nauką, myślą, sercem i wiarą."

Krótkie to zdanie, a jak wiele mówiące! Pruski minister, pruskim-berlińskim nauczycielom nie powiada, że zadaniem szkoły jest wychowywać dzieci na „dzielnych Prusaków" — lecz na „dzielnych ludzi!" Powiedzenie to dla nas jest znamienne. Znamienniejsze jeszcze jest określenie tego, jak minister rozumie ową — dzielność. Chce on, by ludzie ci dzielni byli: nauką! — myślą! — sercem! — wiarą!

Każde to słowo warte wagi złota szczerego. Toż i my tylko tego chcemy, i my chcemy, by w szkole ludowej dzieci nasze zdobyły naukę, by nauczyły się myśleć, by serce ich prawem biło uczuciem, i by głęboką przesiąkły wiarą w Boga!

Ta tylko miedzy nami jedna różnica jest, że minister Holle będzie nas obdzielał tą dzielnością — w języku niemieckim, którego dzieci nasze nie rozumieją. I tak skarby szkoły ludowej pozostaną dla dzieci naszych i nadal ukryte — mimo jednomyślności społeczeństwa naszego z ministrem dr. Holle — na *zadanie szkoły ludowej!*

* * *

W ubiegłym tygodniu doniósł *„Berliner Tageblatt,"* że w Moers w Nadrenii odbyła się „rewolucya polska," i że przy tej sposobności padły 2 trupy i 14 było rannych.

Naturalnie w społeczeństwie naszem na taką wieść zapanowało żywe zaniepokojenie. Wprawdzie trudno było telegramowi temu dać wiarę, ale gdy pismo posiadające zresztą ze świata dość pewne wiadomości, taką wieść rozgłosi, wtenczas pomimowolnie każdy zadaje sobie pytanie: a może to prawda?

Tymczasem wiadomość ta okazała się zupełnie mylną. Powodem tego telegramu było następujące zdarzenie, które według informacyi pism niemieckich taki miało przebieg:

„Klub „Baudonion na wysokiem morzu" urządzał swoje pożegnanie rekrutów. O godzinie 3 w nocy powstała bijatyka. Kiedy ją załagodzić chcieli policyjni sierżanci Kayser i Hülsemann, przeciwko nim zwróciła się złość ucztujących. Kayser otrzymał postrzał rewolwerowy przez rękę, a zarazem 3 ugodzenia nożem. Jednego człowieka postrzelono w czoło, a Hülsemanna odwieziono ciężko rannego do mieszkania. Zabity górnik z nazwiska Jan Matczak od 2 lat zatrudniony w kopalni „Rheinpreussen" w Moers."

Według informacyi „Wiarusa Polskiego" Jan Matczak w istocie jest zgermanizowanym Mazurem. Polskie jego nazwisko naprowadziło widocznie „Berl. Tagebl." na myśl puszczenia w świat kaczki — o „polskiej rewolucyi." Posłowie nasi możeby sobie fakt ten spamiętali i przytoczyli go przy okazyi w sejmie lub w parlamencie, w jaki sposób i z czyjej strony robi się — „rewolucyą polską." „Berl. Tagebl." wiadomości swojej nie prostuje. Chcemy na jego korzyść sądzić, że nie czyni tego — ze wstydu, że się tak porządnie zblamował.

* * *

„Kuryer Poznański" omówił w dwóch obszernych artykułach „Straż i jej zadanie." Artykuły zwracają się przeciwko pomysłowi — decentralizacyi „Straży," t. j. potworzenia lokalnych towarzystw, któreby razem tworzyły jeden związek pod mianem „Straż." Z artykułów tych wyjmujemy określenie „Kuryera" dotyczące

zadania członków „Straży.“ Pojmuje je „Kuryer“ tak:

„Każdy członek winien być *wzorowym Polakiem-obywatelem*, tak w sferze życia prywatnego, jak publicznego; winien na każdym kroku dbać o polskość swego ogniska domowego i czynny brać udział w pracach społecznych; winien się czuć ogniwem jednej ogólno-narodowej organizacyi i to poczucie przynależności do organizacyi i jej robót manifestować oplatę podatku narodowego.“

Przyjmujemy to określenie zadania członków „Straży,“ a do rzeczy samej dodamy to jeszcze. U nas szybko się tworzą projekty. Projekty te zmieniane w czyn — równie szybko nie zadawalniają pewnych jednostek. I one to zaczynają wykazywać — potrzebę *reformy!* Nieomal każda czynność nasza wykazuje to błędne koło: projekt — czyn — reforma — i tak dalej w kółko. Nie chcemy sobie często zdawać sprawy z tego, że domaganiem reform najczęściej sprawie — szkodzimy. Bo — rzecz jasna — co potrzebuje reformy, to jest — złe. I my na karb tych głosów o reformie kładziemy winę tego, że „Straż“ tak się nie rozwija, jak by tego w imię dobra sprawy naszej życzyć sobie należało.

* * *

Jeszcze tylko ciekawy głos „*Posener Tageblattu!*“ Ma być jak wiadomo przyszłemu parlamentowi przedłożony projekt ustawy o stowarzyszeniach i zebraniach dla całej Rzeszy niemieckiej. Dotychczas każde nieomal państewko Rzeszy ma taką ustawę dla siebie. I owóż pojawił się znowu w „Berl. Tageblacie“ telegram donoszący o pewnej klauzuli, jaką nowy projekt zawierać ma. Oto zebrania, na których obrady toczyć się mają w obcym języku, mają podlegać ostrzejszej kontroli policyjnej. Na takie zebranie nowa ustawa ma rzekomo nie tylko domagać się zgłoszenia na policyi — ale *wyraźnego pozwolenia* policyjnego! — A teraz posłuchajcie, co o tem pisze „*Posener Tageblatt:*“

„Rozumie się, że paragraf ten w pierwszym rzędzie zwraca się przeciwko polskim zebraniom. Nie chcielibyśmy jednakże pozostawić żadnej wątpliwości, że uświadomione koła niemieckie takiemu rozwiązaniu kwestyi — nie przyklasną.“

Czytając tę uwagę można by się skusić do posądzenia „Pos. Tagebl.“ o ogromny zwrot w stronę polską. Ba, pamięć przywodzi na myśl żądania hakatystów, ażeby Polacy na zebraniach mówili — po niemiecku. Stąd „Pos. Tagebl.“ nie może przyklasnąć temu, ażeby używanie języka polskiego na zebraniach zależało od pozwolenia — policyi!

Krótkie więc złudzenie tylko może powstać przy czytaniu uwagi „Pos. Tagebl.“ które powstaje z tego tylko, że jegomość, który ją pisał widocznie zbyt jasnej głowy nie posiada. Nie dziw, że w kwestyach polskich „Pos. Tagebl.“ zajmuje takie stanowisko, które pojąć można tylko z punktu widzenia nadpolityki hakatystycznej. Ba — nadkultura, nadludzie muszą mieć — nadpolitykę!

Redakcya.

Tydzień polityczny.

Kara cielesna w szkole! Ileż to słowo mówi nam szczególnie, ile przypomina walk posłów naszych przeciwko tej karze, ile przywodzi na pamięć bezowocnych dochodzeń rodziców, ażeby za pobicie dzieci — sąd karał nauczyciela.

Wszystko to na próżno! Zdawaćby się mogło, że areopag ustawodawczy, sejm pruski, z wyżyn swoich przesądza życzenie przeważnej części społeczeństwa niemieckiego, a co najmniej stanu nauczycielskiego.

Tak nie jest. Dowodzą tego głosy pochodzące z kół nauczycielskich, głosy mające do pewnego stopnia znaczenie opinii niemieckiego stanu nauczycielskiego, bo pochodzące od organizacyi nauczycielskich. A głosy te nadto potwierdzają mężowie nauki, jak prof. *Münch*, który jest przy berlińskim uniwersytecie ordynaryuszem pedagogiki, reprezentuje więc w pewnej mierze opinię całego wydziału.

Lipskie stowarzyszenie nauczycieli przyjęło w sprawie kary cielesnej następujące wytyczne zasady: zupełne usunięcie kary cielesnej ze szkoły jest w interesie uczniów *pożądane* i w pewnych warunkach *możliwe* — w interesie nauczycieli *konieczne!* Oczywiście cel ten mógłby być osiągnięty tylko pod pewnymi warunkami, mianowicie gdyby *plan nauki* szkolnej przystosowany został do upodobania dzieci i ich zdolności, gdyby w obrębie tego planu więcej swobody pozostawiono pedagogicznym właściwościom nauczyciela oraz indywidualności dziecka, gdyby więcej szanowano prawo wychowawcze rodziców i większe do nich stawiano wymagania, w końcu, gdyby na wypadki szczególnej i nieprzezwyciężonej złośliwości dziecka zgodzono się na pewne środki przymusowe. Że kara cielesna powinna być usunięta ze szkoły w interesie nauczycieli, uzasadniono tem, że nawet w razie miernego jej użycia nauczyciel nie jest wolny od ciężkiego wewnętrznego niepokoju i że kij w ręku nauczyciela najgłówniejszym jest powodem tego, że o całym stanie panują przykre przesądy. Zresztą już i teraz całe grupy nauczycieli kija *poniechały.*

Zasady postawione przez stowarzyszenie lipskich nauczycieli nazwane zostały przez kierownicze koła szkolnych władz *Berlina* jako *godne nadzwyczajnej uwagi* i jako objaw bardzo pocieszający. Berliński radca szkolny dr. Fischer ostrzega młodych nauczycieli w osobnem piśmie przed używaniem kar cielesnych.

To się dzieje w kołach nauczycieli niemieckich, którzy otrzymują moralną, a nawet faktyczną pomoc w swej akcyi przeciwko kijowi w szkole z kół władz szkolnych. Istotnie należy uznać wysoki idealizm nauczycieli niemieckich, którzy zasadami przez siebie postawionymi stają w przeciwieństwie nawet do ustaw krajowych. Wszakże § 50, II. części, powszechnego prawa krajowego powiada: „Kara cielesna nie powinna dochodzić do poniewierania, któreby zdrowiu dzieci nawet w jakikolwiek sposób szkodzić *mogło.*“ Paragraf ten, choć pragnie ochronić zdrowie dzieci, — jednak w istocie zgadza się na karę cielesną. Nauczyciele ją potępiają.

Może sprawa ta dla niemieckiego społeczeństwa należy więcej do dziedziny kultury, nie do polityki. Dla nas, odkąd ustawodawstwo krajowe szkołę zrobiło jednym ze środków wynaradawiających, sprawa kar cielesnych w szkole jest sprawą polityczną — polityczną w znaczeniu kulturalnem. Dla tego tutaj wspominamy o niej. Jest ona ciekawem przeciwstawieniem do faktycznego postępowania nauczycieli w dzielnicach polskich.

Niemcy: Umarł W. ks. badeński Fryderyk w piątek ub. tygodnia. Zmarłemu poświęcają pisma wszelkich odcieni wyrazy pośmiertnego uznania. Nieboszczyk panował lat 55.

Francya: Dziennik francuski „Gil Blas“ wpadł na dowcipny pomysł zwalczania prezesa ministrów Clemenceau'a. Clemenceau, wiadomo, był poprzednio naczelnym redaktorem paryskiego pisma „Aurore.“ Ciętym jego zaczepkom uległ niejeden minister. „Gil Blas“ zapowiedział, że zaangażował znakomitego polityka i polemistę dr. Jerzego Clemenceau na stałego współpracownika. I odtąd poczęły się na łamach tego pisma pojawiać dawniejsze artykuły własnoręczne Clemenceaua, tylko — dostósowane do obecnego położenia Francyi. Oczy-

☞ „Pracę“ najlepiej abonować na poczcie. Przedpłata kwartalna wynosi

1 mk. 50 fen.

z odnoszeniem do domu **1 mk. 62 fen.** „Praca zapisana jest w urzędowym katalogu pocztowym pod numerem II T. 95.

Oprócz artykułów politycznych, społecznych, ekonomicznych „Praca“ podaje w każdym numerze **obfity materyał beletrystyczny, ciekawe powieści, opowiadania, wiersze i t. p.** W każdym numerze mieszczą się **liczne illustracye.** Dział ten będziemy się starali rozszerzyć w kierunku illustrowania zdarzeń chwili obecnej życia naszego w zaborze pruskim, oraz z innych dzielnic. Zwracamy **uwagę kobiet** na zajmujące i pożyteczne wiadomości „Pracy“ z dziedziny **wychowania dzieci, gospodarstwa domowego** i t. p. i polecamy im nasz tygodnik.

wiście minister Clemenceau nie postępuje zgodnie z głoszonymi przez siebie na łamach swego pisma zasadami. To też ciekawe na tem tle zachodzą niby nieporozumienia. Clemenceau sam siebie bije. Ciekawość, czy powinie się przez to noga ministra, czy też uda mu się — wywinąć z tej opresyi.

Austrya. Na prywatnych kolejach rozpoczął się pasywny strejk kolejarzy. Służba kolei państwowych przyrzekła poparcie tego strejku, materyalne i moralne. Austro-węgierski związek zawodowy kolejarzy, liczący 70,000 członków, przyrzekł także swą pomoc. Strejk rozpoczęto w poniedziałek, we wtorek już dało się odczuć znaczne spóźnienie pociągów. — Przedstawiciele kolei będą prawdopodobnie musieli ustąpić.

Marokko: Chaos marokkański się nie wyjaśnia. Abdul Azis stara się we Francyi o pożyczkę i żąda wycofania z Marokka wojska francuskiego. Tylko pod tym warunkiem rzekomo chce się podjąć uspokojenia buntu marokańskich szczepów. — Z innych stron donoszą, że Muley Hafid w 25,000 wojska i 25 armat maszeruje na Rabat, ażeby w otwartem polu zmierzyć się z bratem.

Od Redakcyi.

Obecny numer „Pracy“ wyszedł jeszcze pod redakcyą p. Idziego Świtały.

Autorów, którzy pragną, aby dzieła ich omawiano w „Pracy“, uprasza się o nadsełanie egzemplarzy recenzyjnych.

Ponieważ „Praca“ pragnie popierać talenty rodzime, chętnie będziemy drukowali dobre prace przygodnych autorów.

Zastrzegamy sobie prawo poczynienia w przesłanych nam artykułach takich zmian, jakie uznamy za stosowne. Rękopisów nie zwracamy.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Wiec „Straży“ w Wrocławiu odbędzie się w niedzielę 6 października o godzinie 3 po południu w lokalu Kasyna przy Neuegasse 22 I. Jako delegat przemawiać będzie p. dr. Tadeusz Jaworski z Poznania. O liczny udział rodaków uprasza.

Starosta.

Wiadomości.

* **Wiec polski** *na obczyźnie.* W Essen odbył się w niedzielę walny wiec wyborców Westfalii, Nadrenii i sąsiednich prowincyi. Przyjęto nowy regulamin wyborczy i wysłuchano sprawozdania poselskiego *p. Jana Brejskiego.* Następnie przedłożył p. *Kwiatkowski z Bochum* cztery rezolucye: pierwszą przeciwko zawieraniu kompromisów wyborczych z stronnictwami niemieckimi na obczyźnie, drugą, żądającą od Koła polskiego w sejmie, aby poparło projekt czteroprzymiotnikowego głosowania do sejmu pruskiego, trzecią, wyrażającą uznanie skazanemu na kaźń więzienną ks. prob. Olszewskiemu z Osieka, i czwartą, protestującą przeciwko projektowanemu wywłaszczeniu Polaków.

* **Baczność!** Rodzice, którzy pragnęliby chociaż przez kilka godzin tygodniowo powierzać swe dzieci opiece godnych osób, mogą w tym celu zgłaszać się we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 i pół. na Rybaki nr. 6 parter, wchód z bramy na lewo.

* **Złoty jubileusz** *małżeństwa* obchodzili w ubiegłym tygodniu państwo M. hr. Kwileccy z Oporowa. Dostojni Jubilaci urządzili ucztę dla swych urzędników w pałacu.

Główna uroczystość odbyła się dn. 2-go b. m. w grodzie naszym w katedrze, poczem dostojni Jubilaci podejmowali gości w Bazarze. Dostojnej Parze ślemy serdeczne: Ad multos annos!

* **Jubileusz.** Dnia 1 października obchodziła zaszczytnie znana fabryka papierosów „Wulkan“ w Dreźnie pana Komendzińskiego 25-letni jubileusz. Firmie tej życzymy i nadal powodzenia.

* **Nowe pismo polskie** wydawać będzie w Bydgoszczy od 1-go stycznia 1908 roku pan *Jan Teska,* dotychczasowy redaktor „Lecha“. Pismo to drukowanem będzie w Bydgoszczy we własnej drukarni.

* **Pogrzeb** *Wiktoryi Staniszewskiej* z Pyszczyna, która to w tak smutny sposób, jako ofiara systemu pruskiego, swój młody żywot zakończyła, odbył się w czwartek, dnia 26-go z. m. przy dość znacznym udziale publiczności gnieźnieńskiej. Kondukt żałobny prowadził proboszcz kościoła św. Michała ks. Tyrakowski.

* **Powrót z więzienia.** W czwartek, dnia 26-go z. m. opuścili więzienie w Gdańsku trzej księża z dekanatu lubawskiego, skazani swego czasu każdy na 1 miesiąc więzienia za odczytanie z ambon znanej odezwy w sprawie nauki religii. Są to księża: *Kowalski z Kazanic, dr. Liss z Rumiana i Pelka z Grabowa.* Obecnie więc już wszyscy kapłani, których wtenczas w liczbie ośmiu skazano na karę więzienną, są na wolności (patrz kliszę albumową, zamieszczoną w nr. 8-ym „Pracy“ z roku bieżącego).

* **Ks. prob. Olszewski** opuścił więzienie tymczasowo za kaucyą, którą złożył ksiądz dr. Wolszlegier z Pieniążkowa.

* **Echa** *strejku szkolnego.* Ze Stargardu w Prusach Zach. piszą do „Gazety Gdańskiej“: W poniedziałek 23-go września skazała izba karna robotnika Franciszka Kurowskiego ze Suchobrzeźnicy, oskarżonego o bunt i zakłócenie spokoju domowego w czasie strejku szkolnego na pół roku więzienia. Należał on do tych osób w Suchobrzeźnicy, które podczas strejku szkolnego nauczyciel Windorpski oskarżył o najście szkoły. Innych skazano już dawniej, każdego na 9—12 miesięcy więzienia. Kurowski był w tym czasie na robocie w głębi Niemiec. Pobytu jego nie znano, dopiero kilka tygodni temu wyśledzono go w Brandenburgii.

* **W sprawie** *arcybiskupstwa poznańskiego.* Dziennik rzymski „Corriere della Sera,“ posiadający zwykle dobre informacye donosi, że sprawa obsadzenia arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego nie posunęła się ani o krok dalej. Rząd pruski domaga się, aby Niemiec został arcybiskupem. Watykan natomiast opiera się temu stanowczo. Wobec tego jest prawdopodobne, że tron arcybiskupi w dyece-

zyi gnieźnieńsko-poznańskiej będzie jeszcze długo nieobsadzony.

* **Order** *za germanizacyę.* „Gaz. Gdańska“ donosi, że ks. dziekan Leon Boenig z Chojnic, w którego parafii objawiają się prądy germanizatorskie w kościele, otrzymał order czerwonego orła 4 klasy.

* **Z teatru.** *W sobotę* wystawioną będzie wyborna sztuka p. t. *„Gąsienice,“* komedya w 4-ch aktach, przez *Alfreda Konara,* nader interesująca i oryginalna. (*Ceny zwyczajne*).

W niedzielę po południu o godz. 3-ciej *„Dom otwarty“* komedya w 3-ch aktach M. Bałuckiego.

W niedzielę wieczorem: *„Gąsienice“* komedya w 4-ch aktach A. Konara. (*Ceny zwyczajne*).

* **Drezno.** Tow. Przemysłowców Polskich w Dreźnie urządza w niedzielę dnia 6-go października r. b. w sali swych posiedzeń Schreibergasse 12 Restaurant „Kronprinz Rudolf“ z współudziałem Koła Śpiewackiego, wieczornicę ku uczczeniu pamięci setnej rocznicy urodzin Wincentego Pola.

Szanownych Współrodakqw przebywających w Dreźnie lub okolicy, zapraszając uprzejmie na ową skromną ucztę duchową uwiadomiamy zarazem, że posiedzenia Tow. odbywają się regularnie w każdą niedzielę wieczorem o godz. 8-mej w powyżej wspomnionym lokalu. Goście mile widziani. *Zarząd.*

---

* **Pierniki A. Markiewicza** *z Kostrzyna* niech zamawiają pp. kupcy, cukiernicy i t. d. w własnym interesie jak najspieszniej, ponieważ rychłe zamówienia dają najlepszą rękojmię należytej obsługi (patrz ogłoszenie).

* **Polski skład futer** *i fabryka czapek.* Pan W. Sulicki przed kilku miesiącami otworzył w Poznaniu przy Placu Wilhelmowskim nr. 10 skład futer, kapeluszy i fabrykę czapek, a nadto założył pracownię wyrobów futrzanych. Dotychczas nie mieliśmy prawie polskiej firmy dostatecznie oddanej zawodowi kuśnierskiemu. Futra musiano sprowadzać lub kupować od obcych. Niedostatkowi temu choć w części zapobiegł młody i rzutki przemysłowiec, dla tego zasługuje na poparcie. Zwracamy uwagę na anons.

* **Na ogłoszenie** *pani P. Gardo z Gniezna* p. t. „Ważne dla zegarmistrzów“ zwracamy baczną uwagę interesentom.

Nekrologia.

† *S. p. Michał Palacz,* znany zaszczytnie obywatel i właściciel ziemski, dzielny Polak i gorący patryota, umarł dnia 20-go z. m. w Poznaniu (na Jeżycach), przeżywszy lat 63. Cześć Jego pamięci!

† *S. p. Ludwik Kolicki,* mistrz rzeźnicki, dnia 19-go z. m. w Środzie w 70 roku życia. R. i. p.

† *S. p. Augustyn Bieczyński,* dnia 19-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 76. R. i. p.

† *S. p. Konstancya Wichert,* dnia 19-go z. m. w Pelplinie w 76 roku życia. R. i. p.

† *S. p. Fryderyk Zakrzewski,* nauczyciel emeryt z Grubna, dnia 18-go z. m. w Chełmnie. R. i. p.

† *S. p. Ludwika Sławska,* dnia 25-go z. m. w Poznaniu, w 76-ym roku życia. R. i. p.

† *S. p. Joanna z Babiaczyków Kaźmierczak,* dnia 27-go z. m. w Żelaznie. Zwłoki złożono dnia 30-go z. m. do grobowca familijnego w Szamotułach. R. i. p.

† *S. p. ks. Bernard Preibisz,* proboszcz Zgromadzenia OO. Filipinów w Tarnowie, dnia 26-go z. m. w 80-ym roku życia a w 56-ym kapłaństwa. R. i. p.

† *S. p. Kornelia z Nowakowskich Jaroszowa,* wdowa, dnia 28-go z. m. we Wrześni w 91-ym roku życia. R. i. p.

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

4 Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

„Byłem ogromnie wzruszony — ty byłbyś nim również — i zdjęła mię wielka litość. Zaangażowałem go więc natychmiast jako kucharza naszego okrętu. Nazywa się Długi John Silver i nie ma jednej nogi, ale kalectwo jego jest w moich oczach jedną rekomendacyą więcej, ponieważ stracił ją w obronie rodzinnego kraju, pod nieśmiertelnej pamięci admirałem Hawke. I nie otrzymał żadnej pensyi, Livesey'u! Pomyśl, w jakim szkaradnym wieku żyjemy.

„Otóż panie, myślałem, że znalazłem tylko kucharza, a tymczasem odkryłem całą załogę. We dwóch z Silver'em zebraliśmy w ciągu kilku dni całą kompanię najdzielniejszych wilków morskich, jakich sobie tylko wyobrazić można! nie zbyt gładkich z powierzchowności, co prawda, ale zuchów nieustraszonych. Z takimi nie ulękniemy się choćby fregaty!

„John Silver odprawił nawet dwóch ludzi z pośród sześciu czy siedmiu, których przyjąłem. Wykazał mi w kilku słowach, że są to nowicyusze, którzy jeszcze nie wąchali wody morskiej i zawadzaliby nam tylko w razie jakiej poważnej potrzeby.

„Miewam się przewybornie i jestem w świetnym humorze. Jem, jak rekin, śpię, jak suseł, a jednak nie uspokoję się, póki nie usłyszę zgrzytu moich kochanych lin około windy okrętowej. Na morze! hej! Pal licho skarby. Ta wspaniałość morza upaja mię. A zatem, Livesey'u, przybywaj natychmiast. Nie trać ani chwili, jak mię szanujesz.

— Niech młody Hawkins pójdzie pożegnać się z matką pod opieką Tedrutha, — a potem przyjeżdżajcie tu obaj jak najspieszniej.

John Trelawney.

„Postscriptum". Zapomniałem nadmienić, że Blandly, który mówiąc nawiasem, ma wysłać okręt dla odszukania nas, jeślibyśmy nie wrócili w końcu sierpnia, — znalazł mi przepysznego kapitana. Jest to człowiek trochę milczący i sztywny — niestety, ale pod każdym innym względem prawdziwy skarb. Jon Silver zaś wygrzebał bardzo zdatnego szypra, nazwiskiem Arrow. Mamy bosmana, który gra na trąbce, Livesey'u, tak, że wszystko pójdzie wojskowym trybem na pokładzie naszego zacnego statku: Hispanioli.

„Nie wspomniałem ci jeszcze, że John Silver jest człowiekiem zamożnym. Wiem, że posiada w jednym z banków znaczne sumy na rachunku bieżącym. Oberżę swoją pozostawia na opiece żony, a ponieważ jest to kobieta murzyńskiego pochodzenia, dwaj tacy starzy kawalerowie, jak ja z tobą, mogą pozwolić sobie na przypuszczenie, że to nie tyle zdrowie, co żona wypędza biednego Silvera na morze.

„P. P. S. Hawkins niech zabawi całą dobę z matką.

J. T."

Możecie sobie wyobrazić uniesienie, w jakie mię ten list wprawił. Nie posiadałem się z radości i z najwyższą pogodą patrzałem na starego Toma Tedrutha, którego myśl o dalekiej podróży przejmowała prawdziwą rozpaczą. Mruczał też i uskarżał się biedak bez końca. Niejeden z jego kolegów ze służby leśnej byłby go z chęcią zastąpił, ale wolą Esquire'a było, aby jechał Tedruth, a wola Esquire'a stanowiła dla nich wszystkich święte prawo. Żaden nawet nie pozwoliłby był sobie szemrać, jak to czynił TomTedruth, korzystając z przywilejów starej i wiernej służby.

Nazajutrz więc, po śniadaniu, wybraliśmy się do gospody „Admirał Benbow", gdzie zastałem moją matkę w dobrem zdrowiu i świetnym humorze. Kapitan, który był przez długi czas przyczyną tylu obaw i przykrości, odszedł tam, skąd źli nie mogą już nam szkodzić. Esquire kazał naprawić wszystkie uszkodzenia, pomalować na nowo pokoje gościnne, a nawet szyld i darował nam kilka mebli, między innemi prześliczny fotel z poręczami, w którym matka moja siadywała teraz za bufetem. Znalazł jej także chłopca do posługi, aby miała pomoc w czasie mej nieobecności. Dopiero ujrzawszy tego chłopca, zrozumiałem położenie rzeczy. Aż do tej chwili marzyłem tylko o przygodach, które mię oczekiwały, nie troszcząc się wcale o dom, który opuszczałem. Ale teraz, na widok tego obcego niezgrabiasza, co miał zająć moje miejsce przy matce, po raz pierwszy zalałem się łzami. Obawiam się, żem zatruł przez ten dzień biedakowi życie. Nie znał on jeszcze dobrze roboty i miałem co chwila sposobność karcić go i łajać, z czego też nie omieszkałem skorzystać.

Noc minęła i następnego dnia, po obiedzie, Tedruth i ja wybraliśmy się, również pieszo, w powrotną drogę. Pożegnałem się z moją matką i zatoką, nad której brzegiem pędziłem moje życie od chwili urodzenia i z kochanym, starym „Admirałem Benbow", — choć, odkąd go na nowo pomalowano, nie tak już kochanym. Ostatnie moje wspomnienie poświęciłem kapitanowi, który tak często przechadzał się po tem wybrzeżu w swym trójgraniastym kapeluszu, z blizną od szabli na twarzy i starym mosiężnym teleskopem w ręku. Po chwili skręciliśmy w bok i rodzinny mój dom zniknął mi z oczu.

Wieczorem, o zmroku, siedliśmy przed hotelem „Royal George" do dyliżansu, gdzie zajęliśmy miejsca na imperyalu. Ja zostałem wciśnięty w kąt pomiędzy Tedrutha i jakiegoś otyłego gentlemana, co było dość niewygodnem. Pomimo szybkiego ruchu i chłodnej nocy musiałem się zdrzemnąć od razu i całą noc przespałem, jak suseł, ukołysany pędem dyliżansu po przez wzgórza i doliny. Obudziło mię dopiero silne potrząśnięcie. Przetarłszy oczy, zobaczyłem, że stoimy przed jakimś wielkim budynkiem, w nieznanem mi mieście i że już dawno był dzień biały.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałem.

— W Bristolu, — odparł Tom. Wysiadaj.

Mister Trelawney zamieszkał w gospodzie niedaleko doków, aby nadzorować z blizka roboty na statku. Tam więc poszliśmy, a droga nasza ku mojemu nieopisanemu zachwytowi, prowadziła przez wybrzeże, obok całego mnóstwa okrętów wszelkich kształtów, pojemności i flag.

Na jednym słyszałem majtków, śpiewających chórem przy robocie. Na pokładzie drugiego widziałem ludzi, zawieszonych w górze, wszystko ponad moją głową, na linach, które wydawały się zdaleka nie grubsze od nici pajęczych. Chociaż spędziłem całe moje dzieciństwo na wybrzeżu, zdawało mi się teraz, iż nigdy jeszcze nie znajdowałem się tak blizko morza. Zapach dziegciu i soli był czemś nowem. Spotykałem najdziwaczniejsze postacie, jakie kiedykolwiek żeglowały po morzu. Widziałem starych marynarzy z kolczykami w uszach, o kręconych faworytach, wysmarowanych dziegciem harcapach i chwiejnym, zataczającym się chodzie ludzi, którzy odwykli poruszać się po lądzie. Gdybym był ujrzał tyluż króli i arcybiskupów, zachwyt mój nie mógłby być większym.

I oto ja sam także miałem wyruszyć na morze! na morze! na wielkim okręcie, z grającym na trąbce bosmanem i śpiewającymi majtkami w barcapach! Na morze, aby płynąć do nieznanej, dalekiej wyspy — po skarby ukryte!

Byłem wciąż jeszcze pogrążony w tych rozkosznych marzeniach, gdy stanąwszy przed obszerną gospodą, spotkaliśmy Esquire'a Trelawney, przyodzianego w ciemnogranatowy mundur oficera marynarki, który właśnie wychodził z drzwi oberży, z uśmiechem naustach, naśladując do nieporównania zataczający się chód starych marynarzy.

— A, jesteście! — zawołał. To dobrze. A doktor przyjechał wczoraj wieczorem z Londynu. Brawo? Teraz cała załoga okrętowa jest w komplecie.

— O! sir! — zapytałem. — Kiedy odbijamy?

— Odbijamy? — odpowiedział.

— Odbijamy jutro.

ROZDZIAŁ VIII.

W tawernie pod Lunetą.

Gdy zjadłem śniadanie, Esquire posłał mię z listem do Johna Silvera, utrzymującego na linii doków małą tawernę dla majtków pod znakiem „Lunety."

Poszedłem chętnie, rad nowej sposobności ujrzenia okrętów i marynarzy. Robota wrzała właśnie w dokach jak nigdy. Przeciskałem się tu długo pomiędzy całym tłumem ludzi, worów i pak, zanim odnalazłem wreszcie ową tawernę po wielkim, mosiężnym teleskopie, jaśniejącym na szyldzie.

Była to dość jasna, wesoła gospódka: szyld świeżo pomalowany, w oknach czerwone firanki, podłoga wysypana czysto piaskiem. Zauważyłem jeszcze, że gospoda położoną była pomiędzy dwiema ulicami, na każdą z nich wychodziły otwarte drzwi od izby restauracyjnej, co czyniło duży, nizki pokój, dość jasnym, pomimo zaścielających go kłębów dymu.

Goście składali się przeważnie z marynarzy. Rozmawiali oni tak głośno, że mimowoli zatrzymałem się w drzwiach, onieśmielony.

W tem z bocznego pokoju wyszedł jakiś człowiek, w którym na pierwszy rzut oka poznałem Dłu[illegible]o Johna. Miał on lewą n[illegible]gę uciętą po kolano i szedł, [illegible]rając się na kuli, trzymanej pod lewem ramieniem, którą władał z tak niezwykłą wprawą i zręcznością, że zdawało mi się, jakoby idąc, podskakiwał jak ptak. Był to wysokiego wzrostu, silnie zbudowany mężczyzna. Twarz jego, szeroka i tłusta, jak świeża szynka, była bladą i brzydką, ale dość inteligentną, a w tej chwili mile uśmiechniętą. Wydał się istotnie w przepysznym humorze i sunął, pogwizdując pomiędzy stołami, żartując wesoło i klepiąc po ramieniu najbardziej ulubionych gości.

Mówiąc szczerze, od pierwszej wzmianki o Długim Johnie w liście Esquire'a Trelawney, ogarnęła mię obawa, aby nie okazał się on przypadkiem owym jednonogim marynarzem, na którego czatowałem tak długo w naszej gospodzie pod starym „Benbow'em." Ale jedno spojrzenie na człowieka, który stał przedemną, uspokoiło mię. Widziałem przecie kapitana i Czarnego Psa i ślepego żebraka, Pew — miałem zatem wyobrażenie, jak wyglądają piraci morscy. — Zupełnie inaczej, niż ten porządnie ubrany, miły, wesoły oberżysta.

Nabrałem odrazu odwagi i przestąpiwszy próg, skierowałem się prosto ku miejscu, gdzie stał ów człowiek, oparty na kuli, rozmawiając z jednym z gości.

— Czy pan jesteś panem Silver, sir? — zapytałem, podając list.

— Tak, mój chłopcze — odparł — tak się nazywam istotnie. A kimże ty jesteś? — Tu spostrzegł list Esquire'a i zdawało mi się, że drgnął nieznacznie.

— O! — zawołał głośno, wyciągając rękę. — Domyślam się. Jesteś naszym nowym chłopcem okrętowym. Cieszę się bardzo, że cię widzę. — I ścisnął mi dłoń swą szeroką, silną prawicą.

W tem jeden z gości, u rogu stołu, zerwał się nagle i rzucił ku drzwiom. Siedział tuż przy nich, więc w mgnieniu oka znalazł się na ulicy. Ale właśnie owym gwałtownym pośpiechem zwrócił moją uwagę. Poznałem go w jednej chwili. Był to człowiek o bladem obliczu, bez dwóch palców u rąk, który pierwszy zjawił się pod „Admirałem Benbow."

— O! — zawołałem. — Stój. Trzymajcie go! To jest Czarny pies!

— Pal go licho, kimkolwiek jest! — zawołał Tom Silver.—Ale nie zapłacił rachunku. Harry, biegnij i złap go!

Jeden z gości najbliższych drzwi, wyskoczył z za stołu i puścił się w pogoń.

— Gdyby był samym admirałem Hawke, musi zapłacić, co winien — wołał Silver, a potem puszczając mą rękę:

— Jak się on nazywa, mówiłeś? — pytał. — Czarny — co?

— Pies, sir — odparłem. — Czy Mister Trelawney nie opowiadał ci o korsarzach? Był jednym z nich.

— Tak? — krzyknął Silver. — W moim domu! Ben leć na pomoc Harry'emu. Jeden z tych szubrawców, co? Czy to ty piłeś z nim, Morgan? Chodź tu?

Człowiek, nazwany przezeń Morgan'em, stary, siwowłosy, o pergaminowej i pomarszczonej twarzy marynarz wysunął się z za stołu nieśmiało, żując tytoń.

— Słuchaj, Morgan — rzekł Długi John bardzo surowym głosem. — Nigdy przedtem nie widziałeś na oczy tego Czarnego — jakże go tam — Czarnego Psa — przedtem, co?

— Nigdy, sir — odpowiedział Morgan z ukłonem.

— Nie wiedziałeś, jak się nazywa, prawda?

— Nie, sir.

— Do pioruna, szczęście twoje, Tomie Morgan! — zagrzmiał oberży[illegible]a. — Gdyby się okazało, że przyjaźnisz się z podobnymi łotrami, nie przestąpiłbyś już nigdy progów tego domu, o tem bądź przekonany. I cóż on ci mówił?

— Nie pamiętam dokładnie, sir — odparł wymijająco Morgan.

— A od czegoż masz głowę na karku, idyoto jeden — łajał Długi John. — Nie pamięta dokładnie, słysząc rzeczy! Może nie pamiętasz także dokładnie, z kim wogóle mówiłeś? No, gadaj, co on ci prawił? O podróżach, kapitanach, okrętach? Ruszże językiem! No, cóż to było?

— Mówiliśmy o przeciąganiu majtków pod spodem okrętu *) — wybąkał Morgan.

— Ach o tem! Bardzo stosowny przedmiot rozmowy dla was. Wracaj na miejsce, Tom.

I gdy Morgan podreptał na swoje miejsce, Silver szepnął mi poufnie na ucho, co, jak sądziłem wówczas było bardzo pochlebnem dla mnie:

— Chodząca uczciwość ten Tom Morgan, ale głupi nieborak! A teraz — prawił dalej głośno — zobaczmy, Czarny Pies? Nie, nie przypominam sobie tego imienia, z pewnością nie. Wszakże, coś mi się widzi, że widziałem

*) Kara stosowana na okrętach angielskich. (Przyp. tłum.).

kiedyś tego hultaja. Zdaje się, że przychodził tutaj z pewnym ślepym żebrakiem...

— Nie mylisz się pan, w istocie — odparłem. — Znałem tego niewidomego także. Nazywał się Pew.

— Właśnie! — zawołał Silver z uniesieniem. — Pew! Tak, na pewno tak się nazywał. A wyglądał, jak ostatni z łotrów! Jeżeli złapiemy tego Czarnego Psa, no, kapitan Trelawney dowie się ciekawych rzeczy! Ben ma dobre nogi, mało który marynarz wyrówna mu w biegu! Dogoni on tego łajdaka niechybnie i tylko patrzeć, jak go tu przywlecze za kołnierz. Mówił o przeciąganiu pod pokładem, no, już ja mu dogodzę!

Mówił szybko, wyrzucając zdania, jak kamyki z procy i przez cały czas chodził nieustannie z końca w koniec sali, bijąc pięścią o stół i dając wszelkie oznaki tak silnego wzburzenia, że przekonałby najdoświadczeńszego z sędziów śledczych.

Podejrzenia moje obudziły się z dawną siłą na widok Czarnego Psa w oberży pod Lunetą. Obserwowałem kucharza bacznie. Ale był on zbyt przebiegły i sprytny, aby się zdradzić, ja zaś byłem bardzo młody. To też, gdy obaj ludzie wysłani w pogoń za Czarnym Psem, powrócili zziajani, oświadczając, że zgubili ślad ściganego w tłumie i że ich samych omal nie wzięto za złodziei, gotów byłem ręczyć głową za niewinność Długiego Johna Silvera.

— No, widzisz, Hawkins — mówił — przykra to bardzo sprawa dla takiego człowieka, jak ja. Bo co sobie pomyśli kapitan Trelawney? Że też taki djabli syn gościł w moim domu i spijał mój własny rum! Oto ty przychodzisz i mówisz mi to po prostu, a ja pozwalam mu dać drapaka w moich własnych oczach! No, Hawkins, sam zaświadcz za mną przed kapitanem. Młokos jesteś, co prawda, ale masz rozum. Poznałem to natychmiast, skoroś tylko wszedł. Sam powiedz, co mogłem zrobić z tem przeklętem drewnem pod pachą! Ba, gdyby to dawne czasy, kiedy byłem pierwszym sternikiem, nie byłby mi się wywinął tak gracko, byłbym go dopadł w dwóch susach i kości mu pogruchotał, jak Bóg żywy! Ale teraz...

Wtem urwał i uderzając się w czoło, jak gdyby sobie co przypomniał nagle:

— Rachunek — zawołał. — Nie zapłacił za rum! U licha, gdybym choć nie był zapomniał rachunku!

I upadłszy na ławkę wybuchnął gwałtownym, niepohamowanym śmiechem, aż mu łzy poszły z oczu. Śmiech ten był tak zaraźliwym, że mimowoli zawtórowałem mu i śmieliśmy się obaj, śmieli do rozpuku, aż cała tawerna zadźwięczała rozgłośnie.

— Ach, cóż ze mnie za morskie cielę skończone — wyjąkał wreszcie, ocierając mokre policzki. — Powinniśmy żyć z sobą w zgodzie, Hawkins, gdyż doprawdy wart jestem, aby mnie zdegradowano na chłopca okrętowego! Ale niema co, musimy ruszać. Obowiązek obowiązkiem, panowie towarzysze. Nałożę mój stary, stosowany kapelusz i pójdziemy razem zdać sprawę o wszystkiem kapitanowi Trelawney. Gdyż wiedz o tem młodzieńcze, że to nie bagatela. Ani mnie, ani tobie zajście to nie przynosi wcale, żeby się tak wyrazić, zaszczytu. Ani tobie, powiadam, obaśmy gapie zawołane. Ale pal set! Gdybym tylko nie był zapomniał rachunku!

I zaczął się śmiać znowu tak serdecznie, że choć nie rozumiałem, co to było śmiesznego, zmuszony byłem znowu podzielić, chcąc nie chcąc, jego wesołość.

Idąc ze mną koło przystani, bawił mnie nieustannie, wymieniał mi nazwy różnych, mijających nas okrętów, objaśniał. jaka jest ich budowa, objętość i narodowość, tłumaczył, co się na każdym z nich w obecnej chwili dzieje: jako jeden wyładowują, a drugi ładują, a trzeci właśnie gotuje się do wypłynięcia na pełne morze.

Opowiadanie swoje urozmaicał od czasu do czasu śmiesznemi anegdotami o okrętach i marynarzach, albo przytaczaniem specyalnie żeglarskich wyrażeń, póki się ich nie wyuczyłem na pamięć. Zacząłem dochodzić do przekonania, że będzie to najmilszy towarzysz okrętowy.

Gdyśmy przyszli do gospody, Esquire i doktór Livesey kończyli właśnie porcyę piwa z grzankami, gdyż wybierali się niebawem z wizytą inspekcyjną na pokład naszego statku.

Długi Jan opowiedział całą historyę od początku do końca z wielkim humorem i zupełną ścisłością.

— Tak było, jak mówię, co, Hawkins? Prawda, że tak było, ja zaś mogłem najsumienniej potwierdzić prawdę słów jego.

Obaj gentlemani żałowali bardzo, że Czarny Pies się wymknął, ale zgodziliśmy się wszyscy, że nie było na to rady. Po krótkiej rozmowie, Długi John, pochwalony za swą przytomność umysłu, zabrał swe szczudła i skłoniwszy się nam z uszanowaniem, wyszedł, kulejąc.

— A nie zapomnij, wszyscy mają się stawić na pokładzie o czwartej po południu, — huknął za odchodzącym Esquire.

— Wedle rozkazu, sir — odkrzyknął mu z korytarza John Silver.

— No, Esquirze, — odezwał się doktor Livesey, — nie bardzo ja dowierzam, wogóle mówiąc, twoim wspaniałym odkryciom, ale to powiem: John Silver podoba mi się.

— To prawdziwa perła — oświadczył Esquire z przekonaniem.

— A teraz — dodał doktór, — idźmy na statek. Jim może pójść z nami, wszak prawda?

— Z pewnością — odparł Esquire. — Bierz kapelusz, Hawkins, zobaczymy okręt.

ROZDZIAŁ IX.

Proch i broń.

Hispaniola leżała nieco opodal i w drodze mijaliśmy liczne okręty, stojące w porcie, okrążając je z różnych stron, od przodu i od tyłu, tak że raz liny ich ocierały się o dno naszej łodzi, to znowu zwisały nam wysoko ponad głowami. Wreszcie dopłynęliśmy do statku, gdzie na pokładzie powitał nas pierwszy szyper, Mister Arrow, ogorzały stary marynarz, z kolczykami w uszach, ale patrzący niemile z podełba i zezem. On i Esquire byli już ze sobą w ścisłej przyjaźni, ale zauważyłem odrazu, że inaczej trochę miały się rzeczy pomiędzy Mr. Trelawney a kapitanem statku. Ten ostatni był to człowiek o bystrem, przenikliwem spojrzeniu, wydawał się niezadowolonym ze wszystkiego, co się działo na okręcie i wkrótce też powiedział nam dla czego, Ledwośmy weszli do kajuty, w drzwiach jej pojawił się majtek.

— Kapitan Smollet, sir, pyta, czy może się widzieć z panem? — rzekł.

— Jestem zawsze na usługi kapitana. Proś, niech wejdzie, — odparł Esquire.

Kapitan, który stał tuż za swym posłańcem, wszedł natychmiast i zamknął drzwi za sobą.

— Witaj pan, kapitanie Smollet, cóż nam pan powiesz? Mam nadzieję, że wszystko w porządku i że okręt nasz gotów do drogi?

— Właśnie, sir, — rzekł kapitan — pragnę się z panem rozmówić otwarcie, choćby to nawet miało pana urazić. Nie podoba mi się ta wyprawa, nie podoba mi się za-

łoga, nie podoba mi się mój pomocnik. Oto, co chciałem powiedzieć: krótko i jasno.

— Może sir nie podoba się panu także okręt? — zapytał Esquire bardzo niezadowolony — jak to łatwo mogłem widzieć.

— Tego nie wiem, ponieważ go jeszcze nie próbowałem na morzu — odpowiedział kapitan. — Zdaje się, że statek jest dobry i mocny, więcej nie mogę nic rzec.

— A może, sir, nie podoba ci się także sam właściciel okrętu? — pytał dalej Esquire.

Ale tu wmieszał się doktór Livesey.

— Daj pokój, — rzekł — daj pokój. Takie pytania nie prowadzą do niczego, budzą tylko wzajemne rozgoryczenie. Kapitan powiedział za wiele, albo za mało i żądam, aby wytłumaczył się nam ze swych słów. Mówisz pan, sir, że nie podoba ci się ta wyprawa? Dla czego?

— Zgodziłem się płynąć, sir, na podstawie tak zwanych krytych rozkazów, tj. bez znajomości celu podróży i prowadzić okręt tego gentlemana, gdzie mi on poleci, — powiedział kapitan. — Ale oto dowiaduję się, że ostatni z moich majtków więcej wie odemnie. Czy to słuszne, pytam pana?

— Nie — odparł doktór Livesey. — Z pewnością nie.

— Dalej, — ciągnął kapitan — słyszę, że jedziemy po skarby, słyszę to od moich własnych ludzi, uważa pan? Otóż, skarby to niebezpieczne słowo. Mówiąc szczerze, nie lubię wypraw po skarby, a tem bardziej gdy są tajemnicze i gdy (z przeproszeniem pana, Mister Trelawney), gdy o tej tajemnicy wie nawet papuga.

— Papuga Silver'a? — zapytał Esquire.

— To jest sposób wyrażenia się — rzekł kapitan. — Chciałem powiedzieć, gdy rzecz jest rozgadaną. Jestem przekonany, że żaden z panów nie ma pojęcia, na co się narażacie, a więc powiem wam wręcz: idziecie na pewną śmierć, i to na oślep.

— To wszystko jest bardzo jasne, w istocie, a nawet dość prawdziwe, — odrzekł doktór Livesey. — Ryzykujemy wiele, ale nie jesteśmy tak nieświadomi, jak się panu zdaje. Następnie mówiłeś pan, że nie podoba ci się załoga? Czy są to źli marynarze?

— Nie podobają mi się, sir — odparł Smollet. — i zdaje mi się, zresztą, że wybór moich ludzi należało było pozostawić mnie.

— Może być — zgodził się doktor. — Przyznaję, że mój przyjaciel winien był poradzić się pana, ale w każdym razie nie miał zamiaru ubliżać panu. I nie podoba się panu także mr. Arrow?

— Nie, sir Sądzę, że jest on dobrym marynarzem, ale zanadto się poufali z załogą. Szyper powinien umieć zachować swoją powagę i nie pić na współkę z pierwszym lepszym z majtków.

— Czy uważasz go pan za pijaka? — zawołał Esquire.

— Nie, sir — zaprzeczył kapitan — mówię tylko, że jest zbyt przyjacielski.

— Dobrze, rozumiem. A teraz, krótko mówiąc, powiedz nam ,kapitanie, czego żądasz właściwie? — pytał doktór.

— Owszem. Czy panowie jesteście zdecydowani stanowczo udać się na tę wyprawę?

— Nieodwołalnie — odpowiedział Esquire.

— Bardzo dobrze — odparł kapitan.

— A więc, kiedyście słuchali mnie cierpliwie, gdy mówiłem rzeczy, których nie mogłem dowieść, posłuchajcie mnie jeszcze trochę. Złożono proch i broń w przedniej części okrętu. Macie zaś bardzo stosowne miejsce pod kajutą, dlaczego nie urządzić tam składu amunicyi, pytam? to jedno. Potem, macie z sobą czterech własnych zaufanych ludzi, których chcą pomieścić wspólnie z majtkami, dlaczego nie ulokować by ich raczej tu, obok kajut gościnnych? to drugie.

— Jeszcze co? — pytał mr. Trelawney.

— Jeszcze jedno — odrzucił kapitan.

— Za dużo było paplaniny, jak dotąd.

— Stanowczo za dużo — potwierdził doktor.

— Powiem panom, co słyszałem na własne uszy — ciągnął dalej kapitan Smollet. — A mianowicie: że macie mapę wyspy, że miejsce, gdzie skarby są ukryte, zaznaczone jest na niej czerwonymi krzyżykami i że wyspa leży.... — I wymienił dokładnie stopień długości i szerokości geograficznej.

— Nigdy nie mówiłem o tem nikomu — zawołał Esquire — ani żywej duszy.

— Cała załoga wie o tem, sir — odparł kapitan.

— Livesey, to chyba ty, albo Haw Hins, — bronił się Esquire zaperzony.

— Wszystko jedno, kto — odpowiedział doktór. Widocznem było, że ani on, ani kapitan nie przywięzywali wielkiej wagi do protestów mr. Trelawney'a. Ja również, gdy był to wielki papla, w tym wypadku jednak, sądzę, że nie był on winien i że nikt z nas nie zdradził przed nikim położenia wyspy.

— Otóż, panowie — kończył kapitan — nie wiem, czy i kto ma tę mapę, ale wymawiam sobie stanowczo, by nie pokazywano jej nikomu, nawet mnie, ani mr. Arrow. Inaczej musiałbym prosić o zwolnienie mnie z przyjętych zobowiązań.

— Widzę to — rzekł doktór. — Chcesz pan trzymać w ścisłej tajemnicy, a z przedniej części okrętu czynić warownię, obsadzoną wyłącznie przez własnych ludzi mr. Trelawney'a i zaopatrzoną we wszystką broń i amunicyę, jaką posiadamy na statku. Innemi słowy obawiasz się pan buntu.

— Sir — odparł kapitan Smollet — nie mam zamiaru obrażać pana, ale proszę nie przypisywać mi tego, czego nie powiedziałem. Żaden kapitan, sir, nie miałby prawa wyruszać na morze, gdyby miał słuszne podstawy po podobnych przypuszczeń. Co się zaś tyczy mego szypra, mr. Arrow, mniemam, że jest on z gruntu uczciwy człowiek; niektórzy z majtków — także; oto wszystko, co mogę powiedzieć. Ale jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo okrętu i życie każdego majtka, znajdującego się na nim. Widzę, że rzeczy idą nie zupełnie tak, jak należy. I proszę by zostały przedsięwzięte pewne środki ostrożności. W przeciwnym razie musiałbym złożyć moje stanowisko. Oto wszystko.

— Kapitanie Smollet — zaczął doktór z uśmiechem — Czy słyszałeś pan kiedy bajkę o górze, która urodził mysz? Wybacz mi pan, ale przypominasz mi pan tę bajkę. Stawiam moją perukę o zakład, że wchodząc tu, przygotowany byłeś na coś więcej.

— Zgadłeś pan, doktorze — odparł kapitan. — Wchodząc tu, miałem zamiar prosić wprost o dymisyę. Nie sądziłem, by mr. Trelawney zechciał mię wogóle słuchać.

— Ani by mi się śniło — zawołał Esquire. — Gdyby nie doktór Livesey, byłbym pana odesłał do stu dyabłów. Ale stało się, wysłuchałem pana. Zrobię, jak pan sobie życzysz, ale nie podnosi to pana wcale w mej opinii.

— Jak się panu podoba, sir — odpowiedział kapitan. Przekonasz się pan, że umiem pełnić swój obowiązek.

I z temi słowami pożegnał się. (C. d. n.)



Z bieżącej chwili.

Pamięci Wincentego Pola
w stuletnią rocznicę jego urodzin.*)

„Bracia! rocznica — więc dla zwyczaju
Niech każdy toastem spłaci“ —

dziś w stuletnią rocznicę urodzin Wincentego Pola hołd należny poecie! Oto dziś wieczór jego chwały! Uczcijmy go słowem, popatrzmy na jego pieśni i życie, które — poeta wierzył w młodości — że mu się złoży, „gdyby wianek, że będzie wieczór taki jak był ranek.“

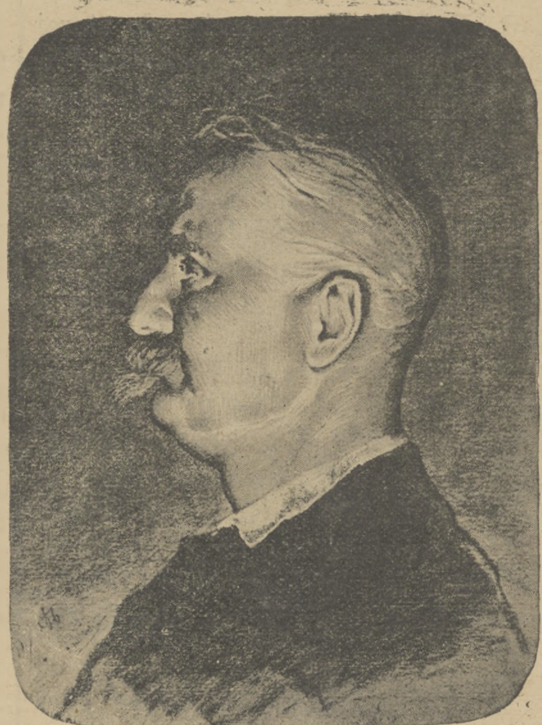
Tymczasem „głowy jego nie oszczędził cios żaden, który na ojczystą ziemię spadał — pisał w pośmiertnem wspomnieniu Szujski — ciężką była ta narodowa służba jego, ciężką jak życie w naszych stosunkach, cięższą stokroć, bo sędziwa głowa jego wznosiła się nad poziom współczesnych“.

Życie Wincentego Pola, to ciekawa karta, mało może znana, należy więc dziś przeczytać ją uważniej.

Kto wejrzy głębiej w życie i dzieła dające nam obraz człowieka i poety, ten nieraz uchyli czoła, przed nie tak wielkim poetą, lecz zato przed dziwnie szlachetną postacią i czystym charakterem. W życiu tak barwnem, tak bujnem, każdy znaleść może „ziarno dobrego posiewu“ — w które poeta wierzył tak gorąco, że zejdzie — i do własnej duszy je przenieść. Odczuwszy myśl, duszę poety, wszystkie jej pragnienia i tę gorącą miłość do ziemi ojczystej i wszystkiego co polskie, oddamy największy hołd, jaki poecie złożyć można!

* Odczyt p. *Anieli Koehlerówny* z Poznania, wygłoszony na obchodzie Wincentego Pola, urządzonym przez Tow. „Promień“ w niedzielę, dnia 29 września b. r. Uprzeimość szanownej autorki dla pisma naszego daje nam możność podania go do druku.

Wincenty Pol ur. się 20 kwietnia 1807 r. w Lublinie. Ojciec jego, Franciszek Pol, pochodził z rodziny niemieckiej, matka Eleonora z Longchamps z rodziny francuskiej osiadłej we Lwowie. Tak więc krew obca płynęła w Polu po ojcu i po matce — a poeta żył, pisał, jakby naj-



Wincenty Pol,
ur. 20. IV. 1807, um. 2. XII. 1872.

czystsza krew polska płynęła w nim z dziada pradziada.

Ojciec Pol, podpisujący się Poli von Pollenburg, to jeszcze na pół Niemiec, choć czujący już i mówiący po polsku; syn — to już gorący patryota walczący za Polskę, stwierdzający krwią i życiem, że za swe obcobrzmiące imię, kocha kraj tym goręcej! Dusza i myśl w poecie nawskroś polska, narodowa, lecz nawet postać jego zewnętrznie nie ma śladu obcego pochodzenia; z zawiesistego wąsa, z postawy zdaje się być urodzonym do kontusza. Obraz takiego też Pola w polskim stroju, z zawiesistym wąsem, z polską charakterystyczną głową — dają nam późniejsze jego portrety.

Przeminęły poety lata dziecięce, „czyste, ciche i szczęśliwe a jak ziemia miłościwe“, jak później o nich śpiewa poeta, wśród nauki domowej uzupełnionej przez życie, wśród ciekawych typów przyjaciół ojca: pana Benedykta Winnickiego, Komarnickiego pana na Złoczowie i wielu innych składających się na żywą kronikę XVIII w. Przesiąknięci przesądem, tradycyą, staroświecczyzną przesuwają się przed oczyma młodziutkiego chłopca jak barwny obraz, karmiąc wyobraźnię jego opowiadaniem o dawnych czasach i zdarzeniami z ubiegłych lat.

Studya uniwersyteckie we Lwowie, to okres, w którym poeta stanął do walki z otoczeniem przesiąkniętem obcym, wrogim żywiołem. Na uniwersytecie zamiast nauki, system tępienia wszystkiego co polskie, kara za używanie języka ojczystego. Wśród zniemczonego Lwowa panuje zobojętnienie dla rzeczy rodzimych, brak świadomości i poczucia własnej narodowej kultury. W chwilach tego upadku moralnego budzi się instynkt samozachowawczy, budzi się sumienie polskie. Pierwiastek uczuciowy, ta żywiołowa siła nasza, której obca przemoc stłumić nie może i nie umie, wybucha tem silniej — serce i dusza dąży do odrodzenia — do rodzimej oświaty.

Lata uniwersyteckie Pola, to praca nad samym sobą, to praca nad językiem polskim i literaturą polską, to wyrobienie hartu duszy.

W tym czasie poeta pokochał Kornelię Olszowską, lecz poślubia ją dopiero po 10-ciu latach narzeczeństwa.

Rok 1830 zastaje poetę we Wilnie jako zastępcę nauczyciela języka niemieckiego na uniwersytecie. Rok ten wraził się w duszę poety, kiedy uj-

rzał się w głębi lasów w „Witoldowej Litwie wonniejącej smółką“ z bronią w ręku. Jako młody ułan w oddziale jen. Chłapowskiego roznosił raporta, zasięgał wiadomości — młody poeta patrzył na przyrodę litewską, lud i chaty. Po upadku powstania odznaczony krzyżem za waleczność, udaje się do Drezna — tu pieśni Janusza otwierają mu serca wszystkich znakomitości polskich. Ale dwie postacie górują nad wszystkimi. To Wieszcz nasz i Klaudya Potocka. Szlachetna jej postać uczyniła na poecie potężne wrażenie. Oto jak pisze w pamiętniku:

...„Potęga jakaś ducha ją wiodła i wspierała. Gdyby to wrażenie było na żołnierza padło, zrobiłoby może z niego bohatera. Ja zacząłem pisać od owego czasu“.

Przez Księstwo t. j. Miłosław, Turwię, doznając gościnności w domu uwielbianego jen. Chłapowskiego wrócił poeta do rodziny — lecz życie nie płynie mu spokojnie. Widzimy poetę jeżdżącego po kraju w misyach politycznych, zwiedzającego Tatry, to w długiej gościnie u Ksawerego Krasickiego w Lesku, w Zagórzanach u Skrzyńskiego, wreszcie w Kalenicy osiadłego na ukochanej roli.

W 1846 r. padł ofiarą rozbestwionego tłumu. Napadnięty we dworze u przyjaciela Trzecieskiego, wraz z bratem Józefem i Trzecieskim skatowany, ranny dostał się do więzienia. Uwolniony, jako redaktor „Biblioteki Ossolińskich,“ pracuje literacko i społecznie. W 1849 r. zostaje profesorem geografii na uniwersytecie krakowskim, lecz nie podoba się rządowi i traci posadę. Zaczynają się lata coraz cięższe. Kłopoty o byt, o los dzieci, śmierć żony i matki, wreszcie utrata wzroku — słowem żywot bolesny.

Zakończa życie 2-go grudnia 1872 roku w Krakowie.

* * *

Wywołując postać poety z cieniów przeszłości, z zapomnienia, chcemy dziś uczcić w nim to, co było w nim najlepszego — te skarby uczucia dla ziemi rodzinnej. Jako śpiewak Janusz powitał nasze strony przynosząc nam pieśń „o Lachu i Orlęciu.“ „Byłem w Litwie i w Koronie, całą Polskę znam,“ woła poeta i ot powstają przed nami te piosenki, obrazki, wspomnienia z 1831 roku, żywe i barwne. Tam dzwon się prosi, żeby go przelano na działa a zadzwoni podzwonne Moskalom, tam „od strony Miłosławia“ ruszają na Powstanie, z daleka dochodzą nas echa bitwy, to: „grzmią pod Stoczkiem armaty“ — tu rozlega się pieśń obozowa: „nie masz pana nad ułana“ — wraz odpowiada jej zwycięzki mazur „Piękna nasza Polska cała.“ Tymczasem Marya w ołtarzu zapłakała krwawemi łzami nad niedolą ludu — smuci się pieśń: „lecą liście z drzewa, co wyrosło wolne“ — tam „panna młoda jak jagoda stojąc we drzwiach płacze“ — a nad temi piosenkami pełnemi uroku, radości i bólu, staje kapłan polski i prorokuje Polsce: „wytrwaj, a staniesz potężna i cała!“

Pieśni Janusza wyrwane z serca narodu, do dziś dla nas żywe i piękne, to nić zadzierzgnięta miłości dla ziemi rodzinnej, odtąd przewijająca się przez wszystkie dzieła poety.

Miłość — wodziła duszę jego śpiewną „tam na północ, hen daleko,“ gdzie puszcz i żubrów kraina, a lud cichy, rzewny, skryty „nuci pieśni o Birucie, o Perkunie i Kiejstucie.“ Szła za Litwę, gdzie „Żmudź święta! Ziemia Boża!“ na Wołyń, gdzie wszystkiego w bród obficie, na „Ukrainy czarne role,“ na „jasne słońce nad Podolem,“ wreszcie do starej ziemi Piasta, gdzie w pośrodku Wisła bieży, a na południu stoją nagie Tatry w śniegu.

Obiegła obszary Polski, odetchnęła głęboko tą „jedną pieśnią strojną, jak Bóg wielką i spokojną,“ którą nasza ziemia gra, „pieśnią, której nic nie stłumi“ i przyniosła „Pieśń o ziemi dla narodu.“

Pieśń ta wypłynęła z wielkiego uczucia dla ziemi i ludu. Poeta pamiętał rok 1830, kiedy pisał w pamiętniku, że czas od „powstania Litwy aż do upadku jego był jedną wielką chwilą poświęceń i ofiar prostego ludu, który je z głęboką wiarą składał nieświadomie prawie na ołtarzu Ojczyzny.“

Wrażenia wyniesione z chat każą poecie lud otoczyć braterską miłością i wierzyć, że przyszłość nasza będzie świetna, „potężna jak lud kmiecy, co ją dźwignie swemi plecy.“

Osiadłszy na wsi w Kalenicy, oddał się pracy nad ludem i dla ludu. Zakładał szkoły, budował chaty, stawiał mosty, nosił lekarstwa chorym, pomoc ubogim i pokrzywdzonym.

Lecz, jak pisze poeta, nie pojął obyczajów ludu, niezrozumiany nie uzyskał ich miłości, krzywo sądzony przez współobywateli, widząc, że „reformatora niezabawna rola“ powrócił do swej pracy!

I miłość znów wiedzie go do piastowej chaty, aby nam pokazać, „w jakim żyją obyczaju“ „ci co z dawna w ziemi siedzą“ — i daje nam „pieśń o starym domu naszym,“ pokazuje jakie „skarby chowa ziemia Lacka i piękności,“ jakie „skarby ducha leżą w grobie,“ tylko: „Znaj podanie twego rodu, Wielkie dzieje Twojej ziemi.“

Ta znajomość ziemi, to dla Pola pierwszy obowiązek, jaki nam spełnić trzeba. Nie tylko Pol — poeta, ale Pol — przyrodnik, geograf woła o konieczność dokładnej, już naukowej znajomości kraju. Tu już nie uczucie, ale zdrowy rozsądek, zmysł praktyczny przemawia przez niego. W tej myśli pisze też o potrzebie zakładania zbiorów krajowych, przez nie szerzy się oświata, ułatwia się kształcenie, budzi ciekawość i zamiłowanie do ziemi ojczystej. Trzeba znać bogactwa swej ziemi, aby je obrócić na jej korzyść i na dobro jej społeczeństwa. Znajomość kraju to pytanie żywotne, bo pisze poeta: „w nieumiejętnem ręku staje się największe bogactwo ziemi skarbem bez korzyści. Jakże gospodarzyć nie znając stanu swej majętności?“

„Źle w świecie krajowi bez naukowego znaczenia,“ pisze dalej. „Jeśli korzystamy z wynalazków, z postępu nauk innych krajów, jest wzajemność naukowa dla reszty Europy obowiązkiem, którego dopełnić należy względem siebie i drugich, jest to dług społeczny, z którego uiścić się potrzeba.“

Poeta patrzył w przyszłość, ale myśl jego chętnie zwracała się ku przeszłości i z niej brała tematy do swych gawęd i pieśni. — To też śpiewa „przeszłe koleje“ Słowian, nas, „co najszerszą ziemię dziedziczym — Na północ i na zaranie,“ nas, o których jak pamięć ludzka, nikt nie powiedział, Żeśmy ztąd kogo wyparli, Aby przed nami był tu kto siedział, Byśmy mu ziemię wydarli.“ Z jaką siłą wypowiada poeta tę naszą przynależność do ziemi, na której żyjemy: „Myśmy tu wzrośli, jak lasy, rosną, Razem z tym dębem i sosną!“

Poeta wierzył, tak jak wierzył nasz Wieszcz i inni, że przez plemię Słowian mir zapanuje na ziemi, że padną kiedyś „głuche i nieme“ narody, z których winy „krzywda siadła na tronie.“

„Niechaj tylko ziemię lud trzyma“ i niech szeroko na niej zasiędzie,“ bo jak dziecku trzeba uśmiechu matki, tak narodowi trzeba „ziemi oddechu i własnych kwiatów i woni.“

Przeszłość dla poety, to kruszec cenny, który z miłością wydobywa z głębi ziemi. Z przeszłości wywołał mistrza-rzeźbiarza, Wita Stwosza — z przeszłości wskrzesił piękną postać

rycerskiego Mohorta, ostatniego rycerza z pod szyszaku, który „czujny jak żuraw,“ „całe życie zbrojny,“ „jak słup graniczny“ czuwa na kresach Polski, aż pada za Ojczyznę na Boryszkowskiej grobli.

Ze wspomnień przeszłości pisał poeta gawędę: „Pachole Hetmańskie“ — z własnych wspomnień „Przygody Pana Benedykta Winnickiego.“ Umiłował poeta przeszłość. Za ten zwrot do niej wdzięczni byli poecie ci, co myśleli na równi z nim, niechętni jak i on chwili obecnej. Lecz zerwała się burza protestu. Nie takich pieśni podnoszących do wielkości małe czyny i sprawy codzienne, osobiste szlachty, spodziewano się po poecie.

Jest rzeczywiście w Polu jakaś dwoistość — w sprzeczności z sobą staje czasem poeta i człowiek. Jeśli się zwrócił ku przeszłości, czemu nie sięgnął do jakiej postaci z epoki Cecory i Kircholmu, gdzie „jeden starczył za dziesięciu, a szedł przeciw stu?“ Jak mógł ten człowiek o szlachetnych, ogólno-ludzkich dążeniach tak się zacieśnić i zapatrzyć z zachwytem w małe, błahe sprawy szlacheckie — może czuł, że na silniejsze rzeczy talent nie dopisze?

Nie bez słuszności były więc zarzuty robione poecie. Czas najlepiej rozstrzygnął, to, co miało wartość — nie zginęło. Dziś w zapomnieniu leży „Pan Benedykt Winnicki,“ rzadko kto czyta „Pachole Hetmańskie,“ za to jak Polska nasza długa i szeroka, kto nie zna „pieśni o ziemi naszej“ i piosenek Janusza?

Poeta miał poza sobą długie lata służby narodowej — w jego obronie stanęło życie i praca. Mógł poeta błądzić, to rzecz ludzka, ale myśl przewodnia w jego życiu zawsze była czysta i szlachetna.

Mógł o sobie powiedzieć, że dotrzymał przysięgi złożonej w młodości: „wiernie służyć wiernej sprawie,“ bo do ostatniej chwili wiernie służył Kościołowi i sprawie narodowej.

Miłość Boga i Ojczyzny górowała u poety nad wszystkiemi uczuciami — dwa te uczucia najszlachetniejsze budziły szereg innych cnót. Przyjacielski, szczery, prawy, czy dla dobra kraju, czy dla przyjaciół zawsze był gotów ponieść ofiarę.

Był to człowiek pracy. Wiecznie czynny, tak jak przez młodość przeszedł wśród pracy i walki, tak i ostatnie lata przedśmiertne umie wypełnić pożytecznie. Niewidomy, nie przestaje śpiewać; szarpany przez współczesnych boleśnie, nie zniechęcił się do pracy. Należał do towarzystw, pisał artykuły, miewał wykłady, to o literaturze polskiej, o muzyce kościelnej, a każda praca była ożywiona duchem patryotycznym. Polska nie schodziła z ust jego — wszędzie i zawsze myśl poety wytężona jakby jej chwały i dobra przyspożyć.

Wielki lubownik muzyki odczuwał jej piękno i słyszał ją w naturze. Dla niego w wichrach jesiennych „wszystkie boleści człowieka, wszystkie jęki natury, wszystkie męki duchów czyśćcowych żalą się i wyją“ — jego zdaniem: „listopad czeka jeszcze na kompozytora muzycznego.“

To poczucie muzyczne przebija w piosenkach, które się same proszą o nutę. Proste i śpiewne rozniosły sławę jego szeroko.

Pol — to jedna z najpopularniejszych postaci w naszej Polsce. Poeta miał rzadki dar ujęcia chwili współczesnej, umiał w pieśń przelać wszystkie uczucia, smutki i pragnienia, które właśnie ożywiały naród — był wyrazem danej chwili.

Nic dziwnego, że ku niemu zwracały się oczy, wszystkich współczesnych, z jego ust czekano pieśni, żalono się kiedy poeta milczał. Tak więc, jak z jednej strony życie nie szczędziło mu cierni, że nieraz skarga bolesna wyrywa się poecie na „smutne żniwo“ — „pieśni siałem“ woła „miast miłości łzy zebrałem“ — tak nie brakło poecie w życiu przyjaźni ludzkiej, pamięci i uznania. Pragnął poeta spopularyzowania nauki, pragnął światła dla wszystkich, aż sam stał się tą popularną, wszystkim znaną i drogą postacią. Nad licznemi wierszami, gawędami krytyka dziś orzekła surowe zdanie, nawet ukochana przez poetę geografia, której długie lata studyi poświęcił, nie znalazła uznania naukowego, lecz ta iskra Boża, która promieniała w jego duszy, zwyciężyła.

Poeta uczuciem zdobył naród!

On rzeczywiście spłacił „dług społeczny“ wobec Ojczyzny, bo do skarbnicy narodowej naszej wniósł daninę swego ducha i pracy, a wniósł ją tak ofiarnie jako szczytnie pojęty obowiązek! Jeśli komu, to Polowi należą się jego słowa własne z nagrobka Romaszkana: „A jako żeniec odpoczął po żniwie, Na pełnych kłosach dobrego żywota.“

Nie sprawdziły się słowa Niegolewskiego, wysłanego w delegacyi z Wielkopolski,“ wyrzeczone nad trumną Pola: „na Wawel z nim,“ lecz Skałka otwarła przed prochami jego podwoje i spoczął w grobach zasłużonych.

Czem dziś jest Pol dla nas, zapytać należy. To przewodnik po ziemi naszej, to wzór niestrudzonego pracownika dla niej.

Straciły dziś dzieła jego na barwach — przyszli po nim inni. Inna jest chwila obecna, inni my, ale jedna i ta sama myśl ożywiała i ożywia naród. Zmieniły się rzeczy zewnętrzne — treść pozostała ta sama.

Są prawdy niewzruszone, dla których czas nie ma znaczenia. I my dziś tak samo czujemy jak czuł Pol, że „czem gorsze położenie narodu, tem bardziej w służbie wytrwać potrzeba.“

I my, jak on, ożywieni jedną i tą samą myślą, dążymy ku przyszłości! Więc duch jego nam bratni, żywy między nami! niech więc przyświeca tym, którzy w przyszłość wierzą! niech śpiących zbudzi, obojętnych zapali!

Aniela Koehlerówna.

Wieczór **Wincentego Pola.**

Myśmy tu wzrośli jak lasy rosną
Razem z tym dębem i sosną.
Winc. Pol.

Sto lat minęło od urodzin poety, którego życie płynęło w wielkiej epoce odrodzenia polskiego, w epoce romantyzmu i wielkich koryfeuszy słowa i ducha polskiego: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego.

Gwiazda jego poezyi nie dorównuje blaskiem swym tamtym. Niemniej imię jego głośne. Nie był on wodzem duchowym narodu, ale był śpiewakiem jego pragnień i trosk, jego bólów i tego, co naród umiłował, co czcił, za co walczył i krew przelewał.

Nuta jego poezyi rzewna, gdy śpiewa o utraconej swobodzie i wadach narodu — poeta rzadko w uniesieniu smaga te wady, raczej im pobłaża. Ta nuta nabiera mocy i potęgi, siły porywającej, gdy pieśń jego uderza w ton chwały swojej ziemi, przywiązania do niej i nadziei na przyszłość.

Pieśń jego krzewi serdeczną miłość do ziemi naszej, do zwyczajów i obyczajów naszych, do przeszłości i budzi nadzieję. Ta pieśń wyśpiewana jest z serca naszego narodu — za to czczono poetę, za to czcimy go dziś.

To też uznanie należy się inicyato-

rom czy inicyatorkom niedzielnego wieczoru na cześć Wincentego Pola, urządzonego za staraniem p. doktorowej Stasińskiej i zarządu tow. „Promień“ z udziałem tow. „Lutnia,“ prelegentki p. Anieli Koehlerówny i artystów p. Tracikiewiczówny, śpiewaczki z Warszawy i p. Eichstaedta, pianisty z Poznania.

Obchód był hołdem dla poety. Przy pomocy świetlanych obrazów przypomniano nam najlepszy utwór Pola — „Pieśń o ziemi naszej.“ Opis Żmudzi, Litwy, Ukrainy, Podola, i Korony przeplatały śpiewy chóru „Lutni,“ śpiew p. Tracikiewiczówny i muzyka p. Eichstaedta.

Odczyt p. *Anieli Koehlerówny*, napisany i wygłoszony nastrojowo, był to nie tyle opis życia i ocena poezyi Pola, ile sylwetka jego jako człowieka i patryoty. Więc przesuwał się przed nami Pol-akademik, walczący



Marya Tracikiewiczówna.

we Lwowie przeciwko germanizacyi miasta i uniwersytetu, Pol-żołnierz broniący Ojczyzny w lasach litewskich, Pol-wygnaniec i śpiewak, Pol-reformator i krzewiciel oświaty wśród ludu, narażony na zemstę rozwścieczonego na szlachtę przez rząd austryacki chłopstwa, aż skończył pracowity żywot, a naród wdzięczny składa prochy jego na Skałce.

Pannę *Tracikiewiczównę* przyjęła publiczność zebrana bardzo licznie, sympatycznie, a porwana jej śpiewem, jej głosem dźwięcznym i pełnym, sprawia jej owacyę niemilknącymi oklaskami. Nie dziwi nas ten zapał publiczności naszej dla artystki. Raz że cieszy się ona zasłużonym rozgłosem, a niedzielny jej występ, mimo niewdzięcznej akustyki sali, potwierdził dochodzące do Poznania odgłosy uznania, poprzedzające jej przyjazd, a powtóre, że publiczność wręcz zgłodniała jest wrażeń i podniety duchowej, jakie daje śpiew prawdziwie artystyczny.

Pan Mieczysław Eichstaedt publiczności naszej dawno jest znany, występy jego przyjmowane są zawsze sympatycznie i z tem uznaniem, które się należy sztuce prawdziwej i prawdziwemu artyście.

Występy chóru męskiego i mieszanego „Lutni“ i odśpiewane przezeń ustępy z „Pieśni o ziemi naszej“ i z Halki złożyły nowe dowody, że śpiewacy „Lutni“ nie szczędzą czasu i trudu i uczą się śpiewu con amore.

Całość obchodu, tak nastrój wywołany odczytem p. Anieli Koehlerówny, jak podnieta duchowa, na którą złożyły się śpiewy i deklamacye, pozostawiły po sobie głębokie wrażenie, którego echo w sercach uczestników wszystkich będzie wspomnieniem o Polu, o jego poezyi, o jego czynach, budzącem zapał do tego, co nam święte i drogie, do tego co polskie.

Nowa walka kulturna.

XVI.

We wtorek dnia 24-go z. m. stawało jeszcze dwóch księży za kratkami II. izby karnej sądu ziemiańskiego w Poznaniu jako oskarżonych o rzekome popieranie strejku.

Ks. kanonik *St. Adamski* z Poznania, jako redaktor pisma „Robotnik,“ umieścił w temże piśmie artykuł, którego treść uznała prokuratorya na mocy słynnego § 110. kodeksu karnego za karygodną. *Sąd skazał ks. kan. Adamskiego na 120 marek grzywny.*



Ks. kanonik Stanisław Adamski.

W drugim przypadku oskarżono *ks. prob. Stanisława Wysockiego* i *organistę Józefa Marcinkowskiego* z Ludomia o wzywanie do nieposłuszeństwa wobec rozporządzeń władz administracyjnych, spowodowanego rzekomo rozdzielaniem formularzy, w których rodzice donosili nauczycielom, iż dzieciom swym szkolnym wzbraniają udziału w niemieckiej nauce religii. *Akt oskarżenia opierał się na zeznaniach nauczyciela Stanickiego z Ludomia,* że dzieci, nie chcące na lekcyach religii po niemiecku odpowiadać, na jego pytanie, kto je do oporu nakłonił, wyraziły się, iż im to ks. proboszcz na nauce przygotowawczej do komunii św. nakazał, że nie biorącym udziału w strejku odmówi rozgrzeszenia przy spowiedzi i że chłopcom nie strejkującym nie pozwolił służyć do mszy św. Nauczyciel ów zeznał także, że w formularzach ręką pisanych poznaje charakter pisma proboszcza.

Ks. proboszcz Wysocki oświadczył w toku rozpraw, że na pytania odnośne *nie będzie zeznawał*, a prosi raczej o udowodnienie mu zarzuconych czynów karygodnych; tyle tylko pozwala sobie powiedzieć, że *wszelkie odnośne twierdzenia nauczyciela polegają na wierutnych kłamstwach.* Organista przyznał, że owe formularze wręczał rodzicom na ich wyraźne żądanie; skąd je otrzymał, nie ma powodu wyjawić. Swiadkowie nie mogli nic pewnego zeznać; jedynie Stanicki powtarza rzekome oświadczenia dzieci. Orzeczenie rzeczoznawcy radcy kancelaryjnego Krügera nie wyjaśnia stanowczo tożsamości pisma na formularzach z rękopisem oskarżonego ks. proboszcza. *Prokurator* uważa na mocy zupełnie wiarogodnych zeznań świadka, nauczyciela, dowód winy obu oskarżonych za dostateczny i *wnosi przeciw ks. proboszczowi o 300 mrk., przeciw organiście o 100 mrk. kary. Sąd atoli, uwalnia dla braku dostatecznych dowodów ks. Wysockiego od winy i kary, skazuje zaś organistę Marcinkowskiego na zapłacenie 30 mrk. kary.*

Ze stepów.

Leci z mogił na równiny
Modroskrzydły wiatr stepowy,
Błyszczy rzeki lazur siny,
Wierzby w wodę chylą głowy —
Nad jarami mgła się zwiewa,
Drzemią wioski — rosy płaczą —
A przy ogniu lirnik śpiewa,
Starodawną pieśń kozaczą...

* * *

Noc nawiewa tęskne dumy
Jak się dawniej żyło? Śniło?

Zda się z Dniepru ślą swe szumy
*„Nienasytiec“ i Budyło“ *)*
Drży w powietrzu cudne granie,
Świeci księżyc jasnolicy —
Zda się niesie wiatr wołanie
*Z „Tomakówki“ i „Chortycy...“ **)*

* * *

Hej sokole! Hej nieboże!
Zbudź się — zbudź się druhu-ptaku!
Czyś nad „Kudak“ latał może?
Czyś ty był na „Czarnym szlaku?“
Czyś ty we śnie — na rozświcie —
Ptaku rycerskiego rodu,
Choć raz jeden przyśnił — z młodu
Dawne — bujne w stepach życie?

* * *

Szumi — szumi wiatr żałośnie,
Świecą gwiazdy jasnolice —
Gdzie legł rycerz — piołun rośnie,
A dziewanny — gdzie dziewice...
Śpij przeszłości! Nad twe łoże
W łzach pochyla kwiat kielichy...
Ty zaś daj nam z nieba — Boże
Pokój jasny... pokój cichy!

A. Koneczna.

*) Progi Dnieprowe.
**) Wysepki zwane „ostrowy.“

Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

Biłgoraj.

Biłgoraj, miasto położone w powiecie biłgorajskim w gubernii lubelskiej, w Królestwie Polskiem, słynie od niepamiętnych czasów z dwóch rzeczy: z pięknych kobiet i... z wyrobu sit, roznoszonych przez sitarzy po wszystkich niemal krańcach świata.

Niestety sława ta obecnie zmalała, jak twierdzą bowiem rzeczoznawcy, pięknych niewiast w Biłgoraju niewiele, mężowie zaś ich zaprzestali wędrówek po świecie z towarem i dziś kupcy żydzi dostarczają im włosia i zamawiają towar, którego sprzedażą sami się zajmują.

Konkurencya sit drucianych zaszkodziła biłgorajskiemu przemysłowi, mimo to produkcya roczna stanowi przeciętniowo pokaźną wartość w sumie 130,000 rubli. Początek wyrobu sit sięga, jak niesie miejscowa tradycya, końca XVI wieku. Zajmuje się nim obecnie przeszło 3 tysiące miejscowej ludności chrześciańskiej. W znajomości fachu celują kobiety.

Założycielem i twórcą Biłgoraja był Adam Gorajski. Przywilejem z roku 1578 Stefan Batory nadał miastu prawo magdeburskie. Gorajscy, jako dysydenci, założyli tu kościół dla spółwierców w roku 1699. Katolicy mieli w roku 1604 małą kapliczkę, zaś późniejszy dziedzic Marcin Szczuka założył istniejący dotychczas kościół parafialny katolicki, pod wezwaniem Wniebowzięcia N. Maryi Panny, przed którym stoi słup z ciosowego kamienia z datą roku 1699. Wspaniały ten przybytek Boży, nie zatraciwszy nic z pierwotnej swojej struktury, stanowi prawdziwą ozdobę miasta.

Biłgoraj nie posiada ulic brukowanych, i z tej racyi nie wygląda schludnie, za to przedmieścia, z domkami tonącemi w ogrodach, miłe sprawiają oku wrażenie. Miejscowość pod samym Biłgorajem — *Różnówka*, dawna posiadłość hr. Platerów, z pałacem okolicznym, prześlicznym parkiem, i *Puszcza Solska* imponują całej okolicy swojem malowniczem położeniem, znajdujący się zaś w tej ostatniej kościół z byłym klasztorem O. O. Franciszkanów ściąga liczne tłumy wiernych. Biłgoraj liczy 8,600 ludności i domów 428, w tej liczbie 36 murowanych. Posiada zwykłe władze powiatowe, stacyę pocztowo-telegraficzną, sąd pokoju i 2 szpitale: chrześciański i żydowski. Powiat biłgorajski należy do najbiedniejszych w gubernii lubelskiej, to też włościanie licznie wychodzą na roboty, dające im większy niż na miejscu zarobek, tak do ościennych powiatów, jak i do Warszawy. W tej ostatniej poszukiwani są przy budowie domów. Między innemi charakterystyczną cechą miejscowego ludu jest zamiłowanie do noszenia kostyumów białych. Jakby dla kontrastu chaty zwykle są niebielone i przedstawiają oddzielny typ, niewidywany gdziekolwiek indziej. Typowemi też są ogrodzenia chat w formie ostrokołów, być może dla obrony przed napastnikami, o których, wśród lasów, jakie pokrywają większą część powiatu, mogło być nietrudno.

Wsie są rzadkie lecz ludne, często przewyższające liczbę tysiąca dusz.

Konrad Zaleski.



Kościół i klasztor po-franciszkański pod Biłgorajem w Puszczy Solskiej.



Rynek i kościół parafialny w Biłgoraju.

* * *

Kościół w Makowie.

Słynne niegdyś były puszcze mazowieckie. Wśród gąszczów leśnych, wśród bagien utworzonych na wydmach piaszczystych, kryły się osady ludzkie, do których dostęp mieli tylko swoi. Puszcze mazowieckie przez długie lat dziesiątki były ostoją żywiołów, nie chcących nic ustąpić ze swobody, niczem nieograniczonej. Tu wszczął się pamiętny bunt Masława, który w zaczątkach istnienia Polski omal nie zniszczył jej bytu państwowego i, choć stłumiony przez Kazimierza I, długo powstrzymywał pochód ku północy chrześcijaństwa, a z niem jednolitej organizacyi państwowej. Tu przez wiek

cały toczyła się walka chrześciaństwa z pogaństwem, zakończona sprowadzeniem Krzyżaków i zupełnem wyniszczeniem pogańskich Prusów.

Ciężka to była walka: kawałkami trzeba było zdobywać te puszcze dla cywilizacyi, a zdobyte — silną dzierżyć ręką. Ztąd też królowie i książęta

chitektoniczne. Styl jego ma cechy tak różnorodne, iż nic pewnego w tej mierze powiedzieć nie można, to tylko pewna, że wielokrotnie musiał być przerabiany, a każdy budowniczy pozostawił na nim piętno swojego czasu. Najwięcej szczegółów budowy odnosi się do wieku XV-go.

wskazuje, że kilkakrotnie była przerabianą, a nawet rozszerzaną.

Dzwonnica, obok kościoła stojąca, odznacza się niezwykłą formą i do rzadkich osobliwości budowlanych może być zaliczoną. I na niej też widnieją ślady kilkakrotnych przeróbek.

Dolna część murów kościelnych zabudowana została z wielkich głazów, rozmaitej formy. Nawet młyńskie kamienie i okrągło wystające kule kamienne można tu i owdzie rozróżnić.



Kościół w Makowie.

W stosunku do okazałości zewnętrznej, wnętrze kościoła makowskiego jest bardzo skromne. Dziwić się temu nie można. Kościół zniszczony w XVIII-ym wieku przez pożar, stał pustką a w r. 1806-ym zamieniony został na piekarnię dla wojska francuskiego, które tu przez czas pewien obozowało. Do roku 1837-go świątynia wciąż była opuszczoną, dopiero za usilnem staraniem ówczesnego proboszcza i przy pomocy parafian doprowadzono kościół do jakiego takiego porządku, aby w niem nabożeństwa mogły się odbywać. W ósmym dziesiątku zeszłego stulecia kościół zyskał nowy ołtarz wielki; równocześnie też odnowiono boczne ołtarze.

polscy liczne wznosili tu zamki, aby w nich bronić zdobyczy, budowali kościoły, aby krzepić w nich słabo jeszcze podówczas zakorzenioną wiarę chrześciańską. Z zamków ówczesnych nie wiele do dziś dotrwało; nawet pamięć o nich minęła i prawie zginęła. Kościoły, odnawiane i wzmacniane, dzięki opiece ludzi pobożnych, bogobojnych, dłużej opierały się niszczącej działalności czasu i do chwili obecniej niektóre dotrwały.

Z zamków ówczesnych zniknął bez śladu zamek Makowski. Jak się to stało, kiedy? — niewiadomo. W aktach miejskich niema o tem wzmianki. A jednak zamek ten istniał, musiał być nawet obszerny, skoro kilkakrotnie gościł w swych murach książąt mazowieckich. Później w zamku tym odprawiano sądy grodzkie i ziemskie. Z podania wiadomo tylko, że wznosił się nad rzeką, Orzycą lub Orzycem zwaną, na wyniosłem wzniesieniu. Później w tem miejscu stanął dom starościński. Dziś miejsce to jest zabudowane według modły teraźniejszej.

Z dawnych, bardzo dawnych czasów pozostał kościół parafialny, pod wezwaniem Bożego Ciała. W aktach biskupów płockich znajduje się wzmianka, że kościół ten wzniesiono przed rokiem 1200. Zdaje się jednak, że data owa opartą jest chyba na legendzie. Być może, iż około tego czasu stał tu Dom Boży drewniany, a nawet i murowany, ten atoli, który dziś widzimy, późniejsze ma znamiona ar-

Wyniosła nawa środkowa dowodzi śmiałości budowniczego, który pierwszy stawiał mury tej świątyni. Prawdopodobnem jest zdanie znawców niektórych, utrzymujących, iż boczne krużganki i prezbyteryum później zostały dobudowane. W stosunku do nawy głównej są one nieco za nizkie. Szczytowa ściana prezbyteryum, z krawędziami esowato zagiętemi, wskazuje, że ta część kościoła przerabiana była w

W prezbyteryum widnieją nagrobki w formie tablic, z napisami tak zatartemi, że ich odczytać niepodobna. Herby tylko wskazują, do jakich rodów należeli ci, których pamięć tu uwieczniono: byli to starostowie makowscy z XVII wieku. Najokazalszym



Typ haty wiejskiej w powiecie Biłgorajskim.

XVI lub XVII wieku. Z dawnej ściany pozostało tylko okno, które prawdopodobnie podczas przebudowy zamurowano. Widnieją w niem atoli przedziały dosyć osobliwe, pozwalające wnosić o dawniejszem pochodzeniu tej ściany. I naczelna ściana kościoła, lubo ma krawędzie zębate, również

jest nagrobek starosty Noskowskiego, zmarłego w r. 1591-ym.

O mieście samem niewiele jest do powiedzenia, bo też niewiele różni się ono od innych naszych małych mieścin w Królestwie Polskiem.

Za miastem, w stronie północnowschodniej, znajdują się ślady dwóch

dosyć dużych kopców; legenda powiada, że tutejsi Mazowszanie usypali je, by uwiecznić pamięć ostatnich dwóch swoich książąt, Janusza i Stanisława. W połowie zeszłego wieku zaczęto je rozkopywać. Szukano zabytków starożytnych, czy też skarbów zakopanych — ale nic nie znaleziono.

M. S.



Goście weselni z okolic Biłgoraja w gubernii lubelskiej

Matka nasza.

Tam, gdzie jasna świeci Częstochowa,
Obróćmy oczy za Polskę w modlitwie;
Tam Matka nasza, tej ziemi Królowa,
Zaginąć nie da, ni Polsce ni Litwie...

Wojska anielskie stoją tam na straży,
Korony Polskiej pilnując dniem, nocą,
A Ona Pani, o żałosnej twarzy,
Ziemię tę naszą utula sierocą.

Jak nas broniła przed wieki od Szweda,
Co szedł na kraj ten z wojskiem nazbyt srogiem,
Tak też nas dzisiaj obroni i nie da,
W płaszcz swój gwiaździsty, skrywszy nas przed wrogiem.

Sprawy ekonomiczne.

Alkoholizm a robotnicy.

Każdy przyzna bezwarunkowo, że zdrowie jest większem dobrem niż majątek. Zwykle jednak przy omawianiu kwestyi socyalnej chodzi tylko o stosunek mego do twego; przy rozpatrywaniu zaś kwestyi alkoholizmu chodzi o to, aby zapobiedz marnieniu najszlachetniejszych ras ludzkich wskutek całego szeregu najstraszniejszych chorób ciała i umysłu, jakie pociąga za sobą alkoholizm. Rozwiązanie kwestyi szerzenia się alkoholizmu jest mojem zdaniem pilniejsze i bardziej niecierpiące zwłoki, niż rozwiązanie wszelkich innych kwestyi socyalnych. Niesprawiedliwy podział zarobków da się powoli wyrównać, ale jeżeli społeczeństwo całe toczone będzie przez dziedziczne cierpienia, to wywiąże się stąd nieskończony łańcuch nędz i mąk, które nigdy nie dadzą się załagodzić.

Rozwiązanie wszelkich innych kwestyi socyalnych w znacznym stopniu ułatwionem by było przez rozwiązanie sprawy alkoholizmu. Szczególniej dla rozwiązania kwestyi robotniczej pierwszorzędnego znaczenia rzeczą jest „trzeźwość, zdrowie i siła klasy robotniczej.“

W każdem położeniu, w każdem przedsięwzięciu klasa robotnicza przez swą wstrzemięźliwość mieć będzie ogromne pierwszeństwo i niech mi wolno dowieść tego będzie na prostym i bliskim przykładzie. Wyobraźcie sobie wypadek braku roboty. W jakich warunkach będą pomyślniejsze widoki zwycięstwa robotników: czy wtenczas gdy będą wstrzemięźliwymi, czy niewolnikami opilstwa. Oczywiście, że wstrzemięźliwi robotnicy z łatwością oszczędzą tyle, aby kilka tygodni lub kilka miesięcy wytrwać bez pracy, a w ciągu tego czasu zadowolnić się skromniejszemi środkami, gdyż mają o jedną potrzebę mniej, to jest wódkę, niż ci co piją. Nie biorę już pod uwagę tego, że są inteligentniejsi, łatwiej się dają zorganizować, utrzymać w porządku i uchronić od wybryków, robotnicy zaś przyzwyczajeni do picia, o wiele prędzej w walce uledz muszą.

Wstrzemięźliwość, ten skarb nieoceniony dla każdego, czyni stan wszelki swobodniejszym, mniej zależnym od klas więcej posiadających.



Kobiety z okolic Biłgoraja w gubernii lubelskiej.

Gdy naprzykład w zimie w r. 1860 do 1861 w Londynie panowały straszne mrozy i wielka nędza wśród ludu, a ilość wydanych wsparć z kasy miejskiej wzrosła niesłychanie wielce, bo udzielono ją aż 130,370 osobom, pokazało się, że z 7947 robotników, bę-

dacych członkami towarzystw wstrzemięźliwości, żaden nie potrzebował publicznego wsparcia.

Jest to fakt, który daje wiele do myślenia. Tak wysoko stoi wstrzemięźliwość klas robotniczych, wobec knajpujących! A nie powinniśmy lekceważyć tej olbrzymiej siły, jaką daje człowiekowi w każdej walce poczucie własnej wyższości moralnej.

Jeżeli w Angli 5 milionów ludzi najrozmaitszych zawodów utrzymuje się w jak najlepszem zdrowiu, sile i wesołości bez użycia jednej kropli alkoholu i jeśli obliczenie kas chorych i towarzystw zabezpieczeń uczy nas, że ci wstrzemięźliwi dłużej żyją i rzadziej chorują, niż nawet umiarkowanie pijący, to, to jest wszystko, co potrzebuje wiedzieć każdy człowiek, aby sobie w kwestyi alkoholizmu wyrobić również umiejętne zdanie, jak najuczeńszy fizyolog i socyolog. A jeżeli powyższe dane zestawione są w porównaniu z pijącymi umiarkowanie, to nie potrzebuję już ani jednego słowa tracić na opowiadanie o skutkach picia nad miarę.

Wszyscy bowiem, którzy się codziennie spotykacie oko w oko ze spustoszeniami wywołanemi przez alkohol, znacie skutki nieumiarkowania lepiej odemnie.

Mogę tylko przytoczyć obliczenie lekarskie, dotyczące śmierci ludności w Szwajcaryi. Mianowicie w Szwajcaryi umiera wskutek pijaństwa pośrednio lub bezpośrednio co dziesiąty człowiek.

Obrachunek ten nie jest bynajmniej zmyślonym, gdyż lekarze wcale nie są fanatykami wstrzemięźliwości, a nie mogliby wykazać pijaństwa jako przyczyny śmierci, jeśliby w rzeczywistości pijaństwo tą przyczyną nie było. A więc jest faktem, że w miastach szwajcarskich co dziesiąty człowiek jest pijakiem. A ileż to taki pijak zniszczy szczęścia własnego i cudzego, zanim jeszcze umrze jako pijak! Ile chorób w krew swym dzieciom zaszczepił? Ileż nieszczęścia na około siebie sieje? A wszakże tylu ludzi jest jeszcze od lekarzy za pijaków nieuważanych, którzy już jednak fatalne skutki użycia alkoholu w dziedzictwie potomkom swym przekazują. Czyż jest możliwem, aby w obliczu takiego bezgranicznego zła i cierpienia, przyjaciel ludzkości założył ręce i powiedział: „Ach, tak przecież zawsze było, lub kiedyś będzie lepiej?“

— Nie! powiadam, nie będzie lepiej, nasza nędza w przerażającej mierze rosnąć będzie i opanuje lud najohydniejszymi czynami, skoro prędko nie zrozumiemy, „co jest wstrzemięźliwość“ i „co to jest pijaństwo“, które to przynosi pojedyńczym jednostwom niepowetowaną szkodę, hańbę i wstyd, narodom zaś odbiera zdrowie, pomyślność i dobrobyt.

G. L.

Dział kobiecy.

Jak uczynić dom miłym żonie?

Poniższy artykuł podajemy, aby go nasze panie mogły dla większej skuteczności przypomnieć swym mężom.

Mężowie mają obowiązek dbać o to, aby żona nie przykrzyła sobie domu i rodzinnego ogniska, ale uważała dom i rodzinę za świątynię, w którejby Panu Bogu w szczególniejszy sposób służyć mogła. Lecz niejedna żona ma prawdziwy krzyż z mężem swoim. Trzeba przyznać mianowicie, że mężowie pod tym względem często błądzą. Ileż to razy mężowie tak się z żonami obchodzą i takie im stawiają wymagania, że zdawaćby się mogło, że to nie ich żony, lecz służebnice. Z pewnością każda żona dosyć się o to stara, aby mężowi swemu, którego nieraz aż do zbytku kocha, we wszystkiem wygodzić. Gdyby więc mąż chciał uznać tę dobrą wolę żony, to niejednę oszczędziłby jej przykrość. Ale na to mają mężowie często oczy zamknięte: wiedzą tylko, że są panami domu, i że ich wola jest i ma być regułą, do której wszyscy się muszą stósować, a biada temu, ktoby się jej sprzeciwił. Biedna żona wtedy tylko drżeć musi na wspomnienie, że to lub owo nie znajdzie upodobania w oczach jej szanownego małżonka.

Gorzej jeszcze, gdy mąż jest do tego stopnia bezwzględny, że obsypuje żonę obelgami i wyzwiskami, nieraz nawet nie szczędzi bolesnej zniewagi. Niechno tylko nie stanie się coś podług woli męża, niech się o minutę obiad spóźni, niech się potrawa nieco przypali, niech zabraknie gdziekolwiek guziczka, którego żona, obarczona jeszcze przecie innemi zajęciami, przyszyć zapomniała, a awantura gotowa. Wtedy latają pioruny po domu, sypią się klątwy z ust rozwścieklonego męża, padają obelgi i gorszące wyzwiska, a tu dziecko słucha i słucha. A to wszystko o co? O drobnostkę nieraz taką, która nie warta wspomnienia.

Zdarzają się nawet wypadki, że mąż z ladajakiej przyczyny, nieraz przyszedłszy w złym humorze do domu, wpada w taką złość, że i pięście są w robocie. Ale na to już rzućmy zasłonę! Nie chcemy nawet przypuszczać, żeby nasze pismo mogło być choć w jednym domu świadkiem takiej gorszącej chwili, w której mąż jak zwierzę rozjuszone pastwi się nad słabą żoną. To już mąż nietylko niedobry, ale wprost zły i niegodziwy...

W każdym jednak razie, warto zapytać: Czy to tak owi szanowni mężowie pojmują miłość małżeńską? czy koniecznie w ten sposób chcą dać dowód, że „kto się lubi to się czubi?“ I dalej: Czy może żona być zadowoloną i szczęśliwą w takim domu, w którym mąż uważa ją za bydlę roboczę, za niewolnicę? Czy nieraz nie musi jej przychodzić pokusa rzucić wszystko i wieść życie samotne? Dobra i uczciwa żona z pewnością nie łatwo na takie pokusy zezwoli, ale przy podobnym mężu nie dziw, że jej takie myśli tłoczą się do głowy.

„Mężowie, miłujcie żony wasze!“ takie napomnienie daje apostół Paweł św. Miłość, to święty obowiązek, który ślubował każdy mąż żonie przy ołtarzu. Siła tego obowiązku, pozostaje ta sama, chociaż i w pół wieku po ślubie, ta sama, jaką była w chwili, gdy oboje klęczeli przy ołtarzu. Niestety zbyt często tak się dzieje, że narzeczony przed ślubem radby zjeść swoją ubóstwianą, a po ślubie objawia jej swoją miłość wyzwiskami, klątwami, nieraz nawet — kułakami. A przecież stworzył Pan Bóg niewiastę nie ze stopy mężowej, aby była niewolnicą, po której bezkarnie deptać może, ale z żebra Adamowego na znak, że ona ma być przybraną towarzyszką męża, otoczoną serdeczną miłością!...

Więcej łagodności, więcej wyrozumiałości, panowie mężowie, a zakwitnie pokój w domu, który dla żon stanie się rajem na ziemi.

* * *

Wychowanie dziatek.

„Zbawiona będzie matka przez dziatki swoje“, mówi pismo święte i jest też tak niezawodnie, jeśli matka weźmie do serca obowiązki, jakie ma względem nowonarodzonego syna lub córki.

Pamiętajcie siostry, że dzieci nie proszą się nam o życie, że gorzko nieraz na to życie płakać im przyjdzie, że niejedno z nich czeka bieda, choroby, broń Boże kalectwo. Kiedy więc za naszą sprawą żyć muszą, zróbmyż przynajmniej wszystko co można, aby

osłodzić im dolę tu na świecie, a ułatwić zbawienie w niebie. Gotując zaś to zbawienie dla naszych dzieci, gotujemy je i dla siebie, skoro Bóg obiecał miłosierdzie swe matkom.

Każda z nas od siebie poprawę zaczynać powinna, zanim zacznie dzieci swe do dobrego przyzwyczajać. A spieszyć się należy z tą poprawą własną, bo ani obejrzysz się, matko, kiedy już dziecko twe na tyle podrośnie, że je będziesz musiała cnoty i rozumu uczyć. Nigdy też mówić nie należy, „ono jeszcze małe „jeszcze nie rozumie'', dziecko, nawet takie, które nie mówi, rozumie doskonale, że się coś złego dzieje, gdy słyszy przekleństwa i krzyki.

Żal powiedzieć, ale sama znałam dzieci, które wprzód umiały wymówić przekleństwo, niż imię Boże, jakże się tu matce spodziewać pociechy z takiego syna lub córki?

Wcześnie więc, jeszcze wtedy, kiedy odrobina kochana na nóżkach stawać nie może i po ziemi się czołga, trzeba już zaczynać pracę nad dobrem wychowaniem dziecka. Trzeba żeby ono widziało dokoła siebie łagodne i miłe, a broń Boże nie gniewliwe twarze, trzeba dbać o wielką czystość jego ciałka, pościeli, ubrania. Dziecko, przyuczone do czystości, łagodności i cichości w domu będzie samo potem uciekać od krzyków i przekleństw, będzie się strzegło brudu, który człowieka podobnym czyni do zwierzęcia.

Wiem siostry kochane, że łatwiej mnie piórem po papierze rady dla was pisać, niż wam nad czystością w mieszkaniu i około dzieci się mozolić. Praca to wielka, zwłaszcza gdy matka cały dzień przy robocie w polu lub w fabryce się trudzi a wróciwszy do domu, nie wie za co pierwej chwytać, za garnek, żeby kolacyę zgotować, czy za mydło, żeby dziecko umyć. Praca wielka, każdy to przyzna, ale i nagroda czeka niemała, bo wierzajcie mi, wy młode matki, nic nie może iść w porównanie z tą pociechą, jaką daje po Bogu dobrze wychowane dziecko.

Polka.

Złote myśli.

Piękne sumienie stać przy przyjacielu,
Jeszcze piękniejsze zostawać przy prawdzie.

Jan Kochanowski.

Napastnicze owady.

(Pogadanka naukowa)

Ścisłe spostrzeżenia naukowe wykazały, iż zwierzęta posiadają swe organizacye „społeczne'', bynajmniej nie ustępujące organizacyom ludzkim. Najlepszym bodaj dowodem są pszczoły i nasze zwykłe mrówki, których misterne gniazda, ich ustrój wewnętrzny i społeczny, podział zajęć, w podziw wprawiają. Lecz nie tylko owady posiadają swą organizacyę gminną, posiadają ją bowiem ptaki i wszystkie prawie zwierzęta, żyjące gromadnie, z tą tylko różnicą, że nie zawsze posiada ona takie wybitne cechy, jak to widzimy u naszych swojskich mrówek, pszczół, a nadewszystko u południowo-afrykańskich termitów, zwanych także bielcami.

Należą one do rzędu owadów prostoskrzydłych. Posiadają duże pasy jednorodnych, wielkich, cienkich, niefałdujących się skrzydel, głowę zwrotną, trzy pary jednakowej wielkości nóg, parę złożonych óczy i mniej lub więcej rozwinięte żuwaczki. Owady te żyją niezmiernie licznemi gromadami, posiadającemi wybitne cechy organizacyi społeczno-wewnętrznej. O- prócz skrzydlatych samców i samic wśród termitów spotykamy osobniki bezskrzydłe, które tem jeszcze się odznaczają, że ich narządy płciowe są w stanie zaniku. Z tej też kategoryi rekrutuje się przeważna liczba państwa termitów. Podział tu jest widoczny. Skrzydlate pokolenie to pokolenie płciowe, rozrodcze; bezskrzydłe to pokolenie bezpłciowe. Pierwsze rozwój swój zawdzięcza staraniom i opiece drugiego. To ostatnie składa się z jednej strony z „robotników,'' którzy żywią skrzydlate pokolenie termitów w okresie ich młodzieńczego rozwoju, stwierdzając tem samem ist-



Gniazdo i chodniki termitów.



Termity.
U góry samiczki skrzydlate; w środku samiczka ze zwiększonym odwłokiem, robotnice i żołnierze.

nienie zadziwiającej organizacyi pracy wśród termitów, — z drugiej zaś strony z „żołnierzy", którzy stanowią siłę zbrojną, zawsze gotową, zawsze czujne mającą oko na niebezpieczeństwo, mogące grozić z zewnątrz.



Drzewo zniszczone przez termity.

Termity (bielce) żyją w pasie gorącym Afryki i Ameryki, jakkolwiek niektóre odmiany termitów spotkać można i w Południowej Europie, zwłaszcza w tej jej części, która najbliżej sąsiaduje z Afryką. Być nawet może, że pobratymcy europejscy są bliskimi krewniakami afrykańskich termitów, a zostały przewiezione na ląd europejski przypadkowo i tu się rozmnożyły. Niejako za wskazówkę służyć może fakt, że termity spotykają się w Europie w pasie nadbrzeżnym i portach południowych.

Termity afrykańskie żyją olbrzymiemi gromadami w gniazdach, przypominających swym wyglądem gniazda naszych mrówek, jednakże przewyższających je rozmiarami. Gniazda termitów na wysokość człowieka nie są bynajmniej rzadkością, a spotykają się i takie, które dosięgają pięciometrowej wysokości (około 9 łokci). Posiadają one otwór o dużej średnicy w górnej swej części. Nie jest to jednakże właściwe wejście, gdyż wejść takich jest mnóstwo i zwykle łączą się one z przejściami podziemnemi, prowadzącemi na zewnątrz, albo do pobliskich drzew. Gniazdo składa się z mnóstwa komór (cel), połączonych chodnikami, z których jeden, o większej średnicy, stanowi jakby ulicę główną, prowadzącą zwykle do apartamentów, zajmowanych przez królowę.

Królowe u termitów są obieralne. Odgrywają one taką rolę, jak matki u pszczół. Z chwilą gdy wybór padł na jedną z samiczek, musi ona poddać się przykrej konieczności pozbawienia się skrzydeł w sposób bynajmniej nie delikatny, jak przystało na majestat królewski, bo poprostu zostają jej odgryzione przez wyborców. Po dokonaniu tej przykrej operacyi królowę ostentacyjnie przenoszą do jej apartamentów. W sąsiedztwie komnaty królowej umieszczają samczyka, posuniętego do godności „królewskiego małżonka". Los jego tem samem zostaje zdecydowany, gdyż termity izolują go od reszty swego społeczeństwa, zagradzając wyjście, prowadzące na zewnątrz, pozostawiając wolnem tylko przejście bezpośrednio do komnaty królowej. Po zapłodnieniu królowa traci zupełnie swój „dziewiczy" i wiotki wygląd, powoli dochodzi do niezwykłych rozmiarów; zwłaszcza odwłok olbrzymio zwiększa swój wygląd i średnicę. Jest on cały wypełniony jajeczkami.

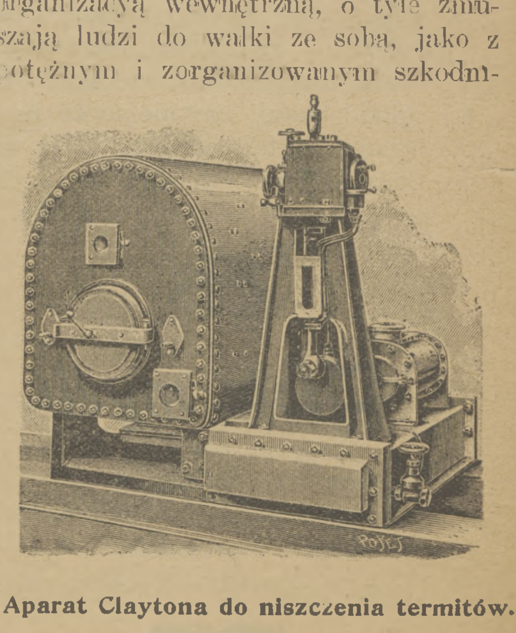
Zniesionemi przez królowę jajeczkami opiekują się „robotnicy", wychowując z nich nowe pokolenia termitów. Termity-samce pod wieloma względami odpowiadają trutniom wśród pszczół, prowadząc żywot próżniaczy. Przeważną masę „ludności" państwa termitów stanowią „robotnicy". Oni to budują gniazda, kopią przejścia, robią zapasy żywności, stanowią więc podstawy organizacyi społecznej termitów. Wojownicy — żołnierze są w znacznej mniejszości, odznaczają się silniejszą budową głowy i silniejszemi żuwaczkami, stanowiącemi groźną dla nieprzyjaciół broń.

Utrzymanie siły zbrojnej i pewnego pogotowia wojennego wśród białych termitów jest dobrze zrozumiałe, skoro weźmiemy pod uwagę ich nieprzejednanych wrogów, choć pobratymców, czarnych termitów, zwanych także matabelami, od kraju, który zamieszkują na równi ze szczepem tej samej nazwy. Matabele urządzają napady na gniazda białych termitów transwalskich bynajmniej nie w celach krwiożerczych, lecz ażeby uwieść ze sobą niewolników, którym zasilają swe kadry robocze. Matabele są tak silni, że potrafią unieść po kilku i kilkunastu nieprzyjaciół w powrotnej do swego kraju drodze. Zachodzi tylko pytanie, jak obezwładniają swych pokonanych przeciwników, trudno bowiem sobie wyobrazić, żeby ci ostatni tak chętnie szli w niewolę nieprzyjacielską. Wielkie spustoszenia czynią w gniazdach termitów mrówkojady.

Termity należą do niezwykłych szkodników, przyczyniając ludziom niemałe straty. Przed napaścią terminów nic się nie ostoi. Ofiarą ich pożądliwości padają nietylko mniejsze rośliny, lecz nawet całe drzewa, które zostają przez nich stoczone do szczętu, jakkolwiek zachowują przynajmniej na razie swój zwykły wygląd. Termity napadają i na mieszkania ludzkie, niszcząc wszystko, co stanie im na drodze, gospodarując w nich, jak u siebie. Francuskie pismo „La Nature" podaje ciekawe szczegóły, świadczące o ich śmiałości, pomysłowości, a nadewszystko o wielkości szkód, jakie wyrządzają ludności zamieszkującej Południową Afrykę, zwłaszcza Transwaal. W Bulowayo potrafiły one zniszczyć cały zapas wina, sprowadzonego z Europy, w butelkach zakorkowanych. Naturalnie utorowały sobie drogę przez korki, nie pozostawiwszy ani kropli płynu w butelkach. W innym wypadku podczas kilkodniowej nieobecności właściciela dostały się do mieszkania pewnego adwokata i założyły sobie siedzibę, zbudowawszy sobie gniazdo na wysokość człowieka. Naturalnie właściciel mieszkania po powrocie swym musiał je opuścić i przenieść się do innego, wszystkie bowiem sprzęty były przez termity stoczone. W samem Bulowayo termity zniszczyły w parku miejskim około pięćdziesięciu wielkich drzew.

Wobec rozmiarów szkód wyrządzonych przez termity w koloniach angielskich Afryki Południowej władza miejscowa wzięła się energicznie do ich tępienia. Wyznaczono na razie nagrody za tępienie matek, lecz nie odniosło to pożądanego skutku. Dopiero w ostatnich czasach zastosowany przyrząd Claytona, rozpylający siarczek węgla, zdaje się być tym pożądanym środkiem, którego poszukiwano w walce z niebezpiecznym szkodnikiem. Siarczek węgla działa na termity zabójczo, niszczy nietylko same owady, lecz i jajeczka.

O ile więc termity zadziwiają swą organizacyą wewnętrzną, o tyle zmuszają ludzi do walki ze sobą, jako z potężnym i zorganizowanym szkodni-



Aparat Claytona do niszczenia termitów.

kiem. Wynik walki przewidzieć łatwo. Termity ustąpić muszą, a wraz z nimi nuka straci niezwykle ciekawy materyał obserwacyjny.

B. G.

Przestrogi i rady.

Nieraz zdarza się, że kogoś wóz przejedzie, człowiek albo na miejscu ducha wyzionie, albo też koła tak mu kości połamią, że wśród strasznych boleści na drugi dzień lub za kilka dni umiera. Często jednak bywa; że na ciele przejechanego człowieka nie widać najmniejszej rany, ani nawet znaku kół. Kiedyż się to zdarza? Oto wtedy, gdy koła przejdą przez brzuch, gdzie kości nie ma. Po takiem przejechaniu człowiek nie zawsze jest zdrów, bo chociaż skóra na brzuchu się ugnie, ale czasem pęka wewnątrz kiszka. Rozumie się, że poznać to może tylko lekarz, boć kiszek nie widać. Człowiek jednak, którego to nieszczęście spotkało, czuje wielkie boleści w sobie, i nie można pozostawić go bez ratunku, czekając dopiero na doktora, bo tymczasem biedak mógłby dostać gorączki i krew zalałaby go wewnątrz. Ratować więc go należy przykładaniem na brzuch lodu, albo chustki zmaczanej w zimnej wodzie.

Spytacie może, dlaczego to przykładanie pomaga? Oto dlatego, że zimna chustka albo lód oziębia wnętrzności człowieka, nie dopuszcza więc gorączki i wylewania się krwi z żył w pękniętej kiszce.

Gdyby jednak chory czuł wielki ból wewnątrz, trzeba koniecznie sprowadzić lekarza, nim zaś ten przyjdzie, robić ciągle zimne okłady. Dodam tu na pociechę, iż zdarzają się wypadki, że po zrobieniu opatrunku człowiek żyje dwadzieścia i trzydzieści lat, chociaż ma kiszkę przerwaną.

Nawet i topielca można uratować, choć go nie zaraz wyciągną z wody. Zdarza się nieraz, że taki, co był nawet pięć i dziesięć minut pod wodą, jeszcze życie może odzyskać, jeżeli tylko ci, co go ratują, wiedzą, jak brać się do tego.

Przez co jednak człowiek się topi na śmierć w wodzie? Oto przez to, że tam nie ma czem oddychać, więc się dusi. Inni znów umierają w wodzie z samego strachu; jeszcze inni dlatego, że byli zanadto zgrzani, a w wodzie nagle się oziębili, więc tknął ich paraliż. Tacy więc, co umarli w wodzie ze strachu, albo zostali tknięci paraliżem, zginęli właściwie nie z powodu utonięcia, bo zanim się mogli udusić, już żyć przestali.

A jak wogóle ratować topielca? Oto, wydobywszy z wody, trzeba go położyć na ziemi, oczyścić nos i usta z błota, jeżeli się w niem zawalał, zdjąć z niego ubranie i pomódz do oddychania jego piersiom. Aby zaś to uczynić, potrzeba przyłożyć ręce z obu stron do żeber topielca i zlekka je ciągle ściskać trzeba tak długo, aż on sam zacznie oddychać. Jeżeli choćby raz odetchnie, to już wyratowany; jeżeli zaś ściskanie to nie pomoże, wówczas nie ma żadnej rady i trzeba tylko pomodlić się za jego duszę.

Pamiętajcie jednak o tem, że chociaż topielec odżyje, nie trzeba zaraz go opuszczać, ale zawołać doktora, aby mu zupełnie zdrowie przywrócił.

Rozmaitości.

Ślub pod szubienicą. Jeden z więźniów skazanych na śmierć za spisek na cara wziął ślub w dniu stracenia z kobietą, z którą dotąd żył „na wiarę". Władze pozwoliły na to. Ślub odbył się też na prędce w więzieniu. Po dokonaniu aktu ślubnego wyprowadzono pana młodego na rusztowanie!

Jaszczurka w żołądku. Niejaka pani Muler w Paryżu chorowała na żołądek. Żadne środki nie pomagały. dopiero w tych dniach odkryto przyczynę tego. Będąc na pewnem weselu, p. M. napiła się po raz pierwszy w życiu wina. Nazajutrz dostała silnych boleści i wymiotów. Przytem wyrzuciła z siebie jaszczurkę. Lekarze twierdzą, że jaszczurka dostała się do żołądka p. M. razem z wodą, którą piła często w lesie.

Ciężki trup. W Newark w Ameryce odbył się pogrzeb pewnej kobiety, która ważyła — 5 centnarów. Przy wynoszeniu ciała z domu musiano wywalić kawał muru. Dwunastu mężczyzn niosło trumnę zmarłej. Dla braku karawanu odpowiedniej wielkości, trumnę na cmentarz przewieziono zwyczajnym wozem.

„Młoda" para. W Tate Springs w Ameryce niezwykle „młoda" para stanęła na ślubnym kobiercu. On liczył 102 lat wieku a ona w dniu ślubu ukończyła lat 100!

Miłość nie zna przeszkód! W parobku od koni zakochała się na zabój 16-letnia hrabianka, córka magnata węgierskiego. Ponieważ rodzice na związek małżeński córki z parobkiem pozwolić nie chcą, młoda hrabianka uciekła z domu i zamieszkała u rodziców swego narzeczonego, Jowana Andrassika.

Zawalenie się olbrzymiego mostu. Jeden z największych mostów żelaznych, jakie obecnie budują na świecie — zawalił się obok Quebek w Kanadzie nad rzeką św. Wawrzyńca. Robotnicy zajęci przy budowie mostu, zostali wszyscy zabici. Zginęło 92 osób, kilkadziesiąt jest rannych. Do rzeki wpadła masa stali 800 stóp długości.

Śmierć 7 osób od pioruna. Podczas burzy szalejącej w Sołuszowie koło Olkusza uderzył piorun w kupę zżętej koniczyny. Pod tę kupę schroniło się właśnie z obawy przed burzą 8 ludzi pracujących w polu. Skutki uderzenia pioruna były okropne. Siedmiu ludzi zabitych zostało na miejscu, a jednego zdołano tylko przywrócić do życia.

Zemsta białych. W Ameryce, w Belingham, w stanie nowojorskim, motłoch złożony z 5 tysięcy przeszło ludzi, wpadł do fabryki, powywalał wszystkie drzwi do mieszkań, zabił kilkunastu Hindusów. Większą część ich wypędzono za granicę Kolumbii angielskiej. Przyczyną napadu była nienawiść przeciw Hindusom, których przyjęto do fabryki w miejsce robotników białych. Hindusi wobec tego nie chcą już przyjąć pracy w tej fabryce.

Dziwna choroba. W wagonie kolei miejskiej w Wiedniu jakaś kilkonastoletnia panienka opanowana została chorobliwą śpiączką. Zasnęła ona snem tak twardym, że nie można się było jej dobudzić. Zawieziono ją w końcu do szpitala, gdzie wszystkie próby lekarzy celem przebudzenia śpiącej okazały się daremnemi. Dotąd nie zdołano stwierdzić nazwiska ani zajęcia i mieszkania popadłej w śpiączkę panienki.

Czyn obłąkanego. Nietylko zwierzęta popadają w wściekliznę. Dostał jej także we Lwowie niejaki Wolbluch z Moskwy. Napadł on na jednego z dorożkarzy i pokąsał go. Temuż z pomocą przybiegły policyant został również przez waryata pokąsany. Przy pomocy innych osób zdołano niebezpiecznego szaleńca skrępować i umieścić w zakładzie dla obłąkanych.



Kalendarzyk historyczny.

Dnia 6 października 1550 śmierć Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego. — 1611 rozejm ze Szwedami. — 1669 koronacya Michała Wiśniowieckiego. — 1694 zyskana pod Kamieńcem bitwa nad Turkami. — 1733 August III królem ogłoszony. — 1766 otwarcie sejmu pod laską Czaplica. — 1788 otwarcie sejmu czteroletniego.

Dnia 7 października 1613 urodzenie królewicza Ferdynanda Karola. — 1617 poddanie się Dorohobuża. —1620 klęska cecorska — śmierć Żółkiewskiego. — 1621 pokój z Turkami pod Chocimem. — 1659 sprzymierzeni Austryacy opuszczają Kraków. — 1831 poddanie się Modlina.

Dnia 8-go października 1587 Zygmunt III. zaprzysięga pacta conventa. — 1657 pogromienie Szwedów pod Piostkami. — 1683 bitwa z Turkami pod Strygoniem. — 1709 August II. godzi się z carem Piotrem w Toruniu.

Dnia 9-go października 1410 bitwa z Krzyżakami pod Koronowem. — 1479 hołd Krzyżaków. — 1683 zwycięstwo Jana Sobieskiego pod Parkanami. — 1733 Moskale zajmują Warszawę.

Dnia 10-go października 1366 pokój z Krzyżakami. — 1593 wjazd Zygmunta III. do Sztokholmu. — 1794 klęska maciejowicka.

Dnia 11-go października 1255 list Przemysława, króla czeskiego, do Prandoty, biskupa krakowskiego. — 1506 pogrzeb w Wilnie króla Aleksandra. — 1672 konfederacya Gołembiowska. — 1697 uniwersał Augusta II. przeciw księciu Conti. — 1726 na żądanie Moskwy syn Augusta, Maurycy, z księstwa kurlandzkiego złożony. — 1831 poddanie się Zamościa.

Dnia 12-go października 1407 uniewinnienie się królowej Anny, oskarżonej o niewierność — 1511 list Zygmunta I. do Kardynała Laurenciusza. — 1580 bitwa z Moskwą pod Sabinem. — 1606 zjazd Rokoszan w Sandomierzu. — 1777 biskupi na sejmie przeciw różnowiercom i wpływom Moskwy.

Humor i satyra.

Dowcipny chłopiec.

Pewna gmina w gubernii kijowskiej wniosła w ostatnich tygodniach podanie do gubernatora z prośbą o zaprowadzenie języka polskiego w szkole — jako że szkoła ta utrzymywana była przez Polaków, zamieszkujących granicę.

Gubernator po wysłuchaniu prośby, łżąc i wyzywając delegatów, odezwał się w te słowa:

— Wiedzcie buntownicy o tem, że zwyciężeni mają zawsze uczyć dzieci swe mówić w języku zwycięzców.

A na to jeden z najstarszych chłopców:

— A to pewnie „wasze błahorodie“ uczy teraz dzieci swoje po japońsku?

Łamigłówka.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ Józef Krzyżanek z Zaparcia.

Chociaż na pozór jestem leki, mały,
Buduję gmachy i rozwalam skały;
Daję człekowi czego mu potrzeba,
Lecz go sprowadzić nie mogę do nieba.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 12-go października włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie arytmogryfu z nr. 38:

a
ł**b**y
wr**o**na
Fra**n**cya
Pr**u**sy
g**j**l
c
N**i**l
pl**e**cy
Jup**i**ter
Inno**c**enty
Leszc**z**yński
pust**y**nnik
tor**t**ury
pr**a**ca
w**j**t
c
k**i**t
kr**e**wo
Kar**p**aty
Kata**r**zyna
Kart**a**gina
melan**c**holia
Tomirs**ę**dziwój

Abonujcie i czytajcie Pracę.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. L. Ludkowski, Wanda Plucińska, Janek z pod Góry Przemysława, Marya Winiewicz, M. Buczkowski, W. Krzywiński; *z prowincyi:* pp. Albina z pod Kościana, J. Wypych z Kościana, Antoś i Kazio Fiedorow z Miłosławia, A. Matuszewski i G. Kaczmarek z Mieszkowa, St. Mikołajczak, M. Zydlewicz, Br. Służewski, Stefania Staśkiewiczowa z Gostynia, H. Palczewska ze Środy, J. Alejska ze Stęszewa, Klara Wawrzynowicz z Kostrzyna, Fr. Chytry z Kobylina, L. Suwalińska z Koźmina, S. Piotrowicz z Gniezna, Z. Kasierowska z Inowrocławia, Jan Szymański (syn) z Ostrzeszowa, W. Radtke z Kruświcy, W. Langa z Rogoźna, B. Śramski z Gołańczy, M. Maliński z Osieczna, J. Wachowski z Niechanowa, B. Ruge z Kruszewa, K. Rucińska z Jerzyc pod Kruświcą, T. Wrembel z Rudek, Stefcia Formanowicz z Dąbrowy, J. Sobocińska z Wielowsi pod Gniewkowem, Jagusia Kaczmarek z Krajkowa, Kostek Puknijsię z Mełpina, T. i M. Przybyszewskie z Giżewa, S. Nowakowski z Mgowa, W. Szejner ze Słomowa, J. Maciejewska z Mórki, Fr. Nawrocka z Żabiczyna, Z. Bielawna z Rozdrażewa, J. Kolańczyk z Kowalewa, S. Pietrzak z Strzyżewa Kościelnego; *z Prus Zachodnich:* pp. W. Kubicki z Malborga, Konstancya Grzenia, H. Kruczkowski z Drzycimia, K. Włoszczyński z Luzina, T. Oszwałdowski z Łasina; *z Górnego Śląska:* pp. A. Gross z Łabęd, J. Knop z Zabrza, J. Oczadły z Załęża, Fr. Oleszko z Kunar; *ze Śląska austryackiego:* p. Alojzy Kopel z Zebrzydowic; *z Galicyi:* pp. H. Jakubowska z Rzeszowa, H. Wodecki z Ropczyc, S. Rejman i J. Tatkowski z Łąki, J. Ziębierak z Biały, W. Priefer z Niegoszewic; *z obczyzny:* pp. Ludwika Bock i S. Wegner z Berlina, I. Łysiak i I. Lewandowski z Charlottenburga, S. Degórska z Hamburga, L. Mąkowski z Witten, S. Gaworzewski z Röhlinghausen, W. Rapiór z Marxloh, T. Matysiak z Horsthausen, J. Niemyt z Hochemmerich, W. Prabucki z Hilden.

Nagrodę otrzymali: pp. Stefania Staśkiewiczowa z Gostynia, W. Kubicki z Malborga i W. Rapiór z Marxloh.

MICHAŁ BAŁUCKI.

Ostatnia stawka.

(4) (Ciąg dalszy).

Pani Solska uważała białe ręce księdza przeora, jako jedyny cel tej pielgrzymki i szła do góry, jak się idzie po schodach, nie uważając wcale na piękne widoki, które jej się rzucały pod nogi i przed oczy.

— Gdyby nie pan — mówiła, oblewając Edmunda wdzięcznem spojrzeniem — nie była-bym zdolną wejść tak wysoko.

Rzeczywiście Edmund więcej niósł, niż prowadził ją. To też podziękowanie przyjął poważnie, jako słuszną nagrodę za ten trud — spojrzał na Julią ,jakby jej chciał powiedzieć: to wszystko dla ciebie.

Julia nie uważała tego, bo korzystając z odpoczynku cioci, nasycała oczy widokiem i pytała Maurycego o różne miejscowości, które się pokazywały na rozległej przestrzeni podkarpackich wzgórzy; — a potem rzekła:

— Kraków ma rzeczywiście prześliczne okolice. Gdyby mi wolno było obrać miejsce jakie na mieszkanie, obrała-bym tylko Kraków.

Edmund spojrzał uszczęśliwiony na Maurycego. Tem spojrzeniem chciał zwrócić uwagę jego na słowa Julii, w których widział jakby rzuconą dla siebie nadzieję. Słowa te wlały w niego nowe siły, których rzeczywiście potrzebował do doprowadzenia cioci na miejsce. Po kwadransie dostała się nakoniec do celu, t. j. do arystokratycznych rąk księdza przeora. Znalazła, że były białe i delikatne i ucałowała je z religijnym zapałem. Następnie sprawdziła twarz i oczy z relacyami swojej sąsiadki i osądziła, że nie przesadzono, nazywając je interesującemi. Równocześnie zarzucała przeora różnemi pytaniami, chcąc dowiedzieć się bliższych szczegółów z jego tajemniczej przeszłości. Poważny zakonnik odpowiadał krótko, z powagą i godnością, a wiele niedyskretnych pytań zostawił bez odpowiedzi, dając tem lekko do zrozumienia, że ta natrętna ciekawość obcej osoby obrażała go. Ciocia jednak nie zrozumiała tego, i przeora, i jego mieszkanie traktowała jak rzeczy wystawione na oglądanie.

Julia nie podzielała tej ciekawości ciotki i, wyszedłszy do małego wirydarzyka, z którego szeroki otwierał się widok, usiadła na kamiennej ławce pod murem, przypatrując się turkawkom, spacerującym wśród grządek kwiatów. Maurycy zgorszony niedyskretnemi pytaniami, jakiemi ciocia zarzucała poważnego zakonnika, wyszedł także do wirydarzyka i, zobaczywszy Julią, zbliżył się do niej.

— Jakże się tutaj pani podoba?

— Pięknie tu, bardzo pięknie, ale zawsze robi to wrażenie cmentarza. Okropnie mi się wydaje mieszkać w takim grobie, jak ten — rzekła, wskazując na domek zakonnika — nie mieć nikogo i nie spodziewać się już niczego. Mróz mnie przechodzi, kiedy pomyślę o takiem życiu.

— Znam trochę przyjemności takiego życia, choć nie mieszkam w klasztorze.

— To już z własnej winy.

— Nie, pani; tylko nie znalazłem tego, czego szukałem.

— Bo może pan szukałeś za wiele?

— Szukałem serca.

— I nie znalazłeś pan?

— Nie był-bym został starym kawalerem.

— A jednak jest tyle szczęśliwych małżeństw.

Uwaga ta, tak prosta, zastanowiła Maurycego i przekonała go bardziej, niż najdowcipniejsze argumenta.

— Może pani masz słuszność, — rzekł — tyle małżeństw szczęśliwych... Trudno przypuścić, żeby wszyscy grali komedyą i dla świata udawali, że są szczęśliwi. Dałaś mi pani dużo do myślenia temi słowami. Może przy ich blasku zobaczę świat lepszym, niż mi się wydawał, a siebie winniejszym.

— Kto uznaje się winnym, ten jest już na drodze poprawy — rzekła Julia, wstając i poprawiając włosy, rozrzucone przez wiatr.

— Dla mnie na naprawę za późno.

Julia chciała coś odpowiedzieć, gdy wszedł Edmund z oznajmieniem, że pani Solska chce już wychodzić i prosi panny Julii, by przyszła pożegnać się z księdzem przeorem. Maurycy niekontent był z przyjścia Edmunda w tej chwili. Ciekawy był-by wiedzieć, co Julia chciała odpowiedzieć na jego ostatnią uwagę. Zapytać ją o to później już nie można było. To też na zapytanie Edmunda, o czem mówili z Julią, odpowiedział dość kwaśno, że o niczem ważnem, i wszedł do domku zakonnika.

Trafił na chwilę, gdy pani Solska prosiła przeora o błogosławieństwo dla siebie. Do czego właściwie było jej potrzeba tego błogosławieństwa, czy na to, żeby suknie dobrze były przykrojone, czy żeby biust jej spodobał się w Iwoniczu, czy żeby kapelusz jej na czas sprowadzono z Paryża?... bo innych pragnień nie miała pani Solska, które-by potrzebowały błogosławieństwa niebios. Powolny jej prośbom zakonnik, zrobił krzyżyk nad jej czubatym kapeluszem, za co wdzięczna białogłowa rzuciła się z zajadłością na ręce jego i wycałowała je na pożegnanie.

Zmierzch już był, kiedy wrócono do powozów. Przez drogę ciocia opowiadała wszystko, co się jej udało wydobyć z milczących ust zakonnika: unosiła się nad jego dystynkcyą, szlachetnością, powagą, pobożnością, i ubolewała nad nieszczęśliwym romansem, który go zapędził do klasztoru.

— Pewnie musiał kochać, niekochany — wydeklamowała patetycznie.

— Albo kochająca i kochana znalazła sobie jaką korzystniejszą partyą — wtrącił złośliwie Maurycy.

Ciocia umilkła i, jakby ją kto wodą oblał, ostygła w zapale. Nastała cisza, której nikt nie umiał przerwać; każdy myślał nad tem, co-by powiedzieć, i dlatego nikt nie mówił. Maurycy niekontent był z siebie, że tak otwarcie wystrzelił satyrę na ciocię, ale nie był panem siebie. Oburzała go sentymentalność i exaltacya nad cudzemi nieszczęściami, objawiona przez kobietę, która z tak zimną krwią jego szczęście podeptała. Z tą przecież mąż szczęśliwym być nie może — pomyślał, przypomniawszy sobie uwagę Julii o szczęśliwych małżeństwach, a w ślad za tem zwątpieniem przypadł szereg innych. Przypomniał sobie naprzykład, że znał jednę mężatkę młodą, piękną, która na stroje i przyjęcia zrujnowała męża. Nieborak zabrnął w długi, kłopoty, posiwiał przed czasem. Powinien był ją znienawidzić za to, a jednak gdy raz Maurycy o szarej godzinie przyszedł do nich, zobaczył, jak siedzieli razem, jak żona głaszcząc męża po twarzy, pocieszała go, a mąż całował ją po rękach. Maurycy, oprócz zdziwienia, doznał był wtedy jakby uczucia zazdrości. Ciepło rodzinne wiało od tej pary, ciepło, którego on nie zaznał w życiu.

Następnie przyszedł mu na myśl pewien urzędnik z magistratu, który vis a vis niego mieszkał w oficynach. Bieda tam była, aż piszczało, bo skromna pensya nie wystarczała na utrzymanie całej famili; żona była kłótliwa i zła, biedny urzędniczek wychodził często do biura z dość widocznemi śladami złego usposobienia swej małżonki. A jednak, gdy umarła na tyfus, biedny człowiek był niepocieszony po jej stracie. Maurycy widział, jak w rok po jej śmierci biegł w Dzień Zaduszny z wieńcem i z dziećmi

na cmentarz. Więc musi istnieć — myślał sobie — jakiś tajemniczy węzeł między osobami, które złączyły się do wspólnego pożycia i, pomimo wad, przykrości, niesnasek, małżeństwo daje pewne rozkosze, przyjemności, których człowiek osamotniony nie zna.

Jeszcze jeden, nawet dość trywialny i rubaszny obrazek przyszedł mu na myśl. Przypomniał sobie, jak raz, przechodząc zaułkami przedmieściowemi, usłyszał był hałas i krzyk w sieni jednego domku. Zbliżywszy się tam, zobaczył, że murarz jakiś bił żonę, kopał i targał za włosy. Litość go wzięła, i wszedłszy, wsiadł ostro na murarza, wyrzucając mu jego nieludzkie postępowanie. Murarz zawstydzony przestał, opuścił ręce i cofnął się, z czego korzystając Maurycy, zaczął mu prawić morały i napomnienia. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy żona stanęła w obronie męża i poczęła go ostatniemi słowami przezywać za to, że wtrącał się do tego, co do niego nie należy, i zakończyła swoje filipki dość oryginalnem zdaniem: „Bije, bo mąż, a panu nic do tego!“

Ta scena luźnie wałęsała się po jego pamięci; teraz, przywołana słowami Julii, stanęła obok tamtych, by walczyć przeciw niemu, przeciw jego staro-kawalerskim teoryom. Kiedy był na wystawie w Wiedniu, spotkał się tam ze swoim dawnym znajomym, bankierem L., sławnym bałamutem i rozpustnikiem, który wyrzucał ogromne sumy na baletnice i inne tym podobne indywidua. Jakież było jego zdziwienie, gdy go zobaczył w towarzystwie niebardzo ładnej kobieciny i dowiedział się, że to jego żona, z którą nawet nie dla majątku się ożenił, bo, stosunkowo do jego dochodów, miała bardzo skromny kapitalik. Gdy Maurycy przy sposobności wyraził mu z tego powodu swoje zadziwienie, machnął ręką na całą swoją burzliwą przeszłość i rzekł dłoń mu ściskając: „Wierz mi, wszystko to nie zastąpi żony!“

Te wszystkie fakta przypominały mu się teraz po kolei i wiązały się w jego głowie w jakąś logiczną całość, z której wysnuwały się dziwne wnioski i kombinacye. Kto wie, — myślał sobie — czy i pan Solski nie tęskni w tej chwili za swoją małżonką; kto wie, czy on sam, gdyby był na miejscu pana Solskiego, to jest, gdyby pan Solski nie był tak niepotrzebnie zjawił się w Rzymie i pozwolił pannie Anieli zostać panią Maurycową, nie byłby szczęśliwym małżonkiem?

Wobec takiego zestawienia rzeczy musiał przyjść ostatecznie do przekonania, że zmarnował życie, że, nie chcąc nic ryzykować na niepewną grę małżeńską, przegrał wszystko, i to zasępiło go. Bronił się, jak mógł, przeciw temu ostatecznemu wyrokowi, który na niego wydały jego własne myśli, i zły był na siebie, że jest tak słaby, że uległ wpływowi jednej kobiety, która może nie jest ani o włos lepsza od innych. Postąpił sobie w tym względzie tak, jak ów grzesznik, który, strofowany przez kapłana za niemoralne życie, zamiast naukę jego wziąć do serca i poprawić się, począł pilnie dowiadywać się o domowe sprawy księdza, by wyszukać coś złego i tem osłabić wrażenie jego napomnień. Tak i on szukał ciemnych stron w charakterze Julii, i gdy Edmund, wracając z nim wieczorem tego dnia do domu, unosił się nad jej przymiotami, Maurycy, zamiast potakiwania, spytał go:

— Czy panna Julia cierpi na skrofuły?

— Cóż znowu? — odrzekł, zmieszany tem niespodziewanem zapytaniem Edmund.

— Więc zapewne pani Solska?

— Być może, ale wątpię. Zkąd-że ci znowu to wpadło do głowy?

— No, bo jeżeli jadą do Iwonicza, — mówił z pewnem rozdrażnieniem Maurycy — to któraś z nich musi być chora.

— Prawda, to mi na myśl wcale nie przyszło. Nie zastanawiałem się nigdy nad tem, dlaczego właściwie te panie jadą do Iwonicza. Nie dziwił-bym się wcale, gdyby, zamiast do Iwonicza, pojechały do Szczawnicy lub Zakopanego, a przecież to całkiem co innego.

— Owszem, na choroby, na które jadą leczyć się te panie, to wszystko jedno.

— Więc ty domyślasz się ich chorób?

— Panna chora na chorobę, na którą chorują wszystkie wędrujące panny, to jest: chce się wydać za mąż, a ciocia chce się przewietrzyć i pokazać nowe stroje.

Tem szorstkiem określeniem, które zgorszyło Edmunda, chciał Maurycy zniżyć przed sobą samym moralną wartość Julii, a tem samem i jej uwag. Ostremi słowami, jak nożem, chciał wykonać na swej duszy amputacyą myśli, zaszczepionych przez nią. Ale mu się to nie udało. Również postanowienie jego niewidzenia się więcej z temi paniami nie wytrzymało próby. Był u nich zaraz dnia następnego pod błahym pozorem dowiedzenia się, kiedy wyjadą, gdyż uważał to za niegrzeczność i brak taktu, nie pożegnać się. Mógł wprawdzie o dniu wyjazdu dowiedzieć się przez Edmunda, ale wolał nie trudzić go, i poszedł sam. Wypadało znowu iść pożegnać się. Nadarzyła mu się wtedy sposobność bardzo dobra usłużenia przyjacielowi i ułatwienia mu rozmowy z panną, gdyż ciocia ze szczególniejszą łaskawością narzucała mu się ze swoją osobą; mimo to, Maurycy nie korzystał z tego, i ile razy się dało, szukał rozmowy z Julią. Kierował nawet tak, aby mógł zawiązać z nią rozmowę, rozpoczętą w bielańskim wirydarzyku, a zerwaną na słowach: „dla mnie już zapóźno na poprawę,“ ale rozmowa ta widocznie miała nieszczęście, że ją zawsze ktoś przerywał natrętnem zapytaniem.

Przy herbacie ciocia zapytała Maurycego, czy przypadkiem nie wybierze się także do Iwonicza.

— Pan Edmund — mówiła — przyrzekł nam już swoję bytność. Gdyby więc i pan się zdecydował, miały-byśmy miłe towarzystwo z panów.

Projekt ten tak się podobał Maurycemu, że oświadczył, iż rzeczywiście miał zamiar w przyszłym tygodniu pojechać do Iwonicza, którego jeszcze nie zna. Edmund spojrzał na niego zdziwiony, że mu nigdy o tym projekcie nie wspomniał. W spojrzeniu rzucił mu jakby zapytanie, na które jednak Maurycy nic nie odpowiedział, bo był zawzięcie zajęty zbieraniem okruszków z sucharka na obrusie.

— W przyszłym tygodniu? — spytała pani Solska. Gdybyśmy wiedziały, że pan jedziesz w początku tygodnia, mogły-byśmy wstrzymać się tych kilka dni, a zyskały-byśmy przez to towarzysza i opiekuna w podróży. Prawda, Julciu?

Teraz z kolei Julia znowu wypatrzyła zdziwione oczy na ciotkę. To niespodziewane zaangażowanie Maurycego na towarzysza podróży musiało wydawać się jej zagadkowem. Pani Solska zatuszowała tę pauzę chwilową, robiąc uwagę, że dwom kobietom samym podróżować jest bardzo niewygodnie. Rozumie się, że Maurycy nie ociągał się z odpowiedzią i oświadczył gotowość swoję towarzyszenia paniom choćby nazajutrz zaraz. Mimo to, zastanowił się w duszy nad tem, co może być powodem tej zbytecznej grzeczności cioci, tego zaproszenia, które nosiło cechę przyjacielskiego zaufania. Nie mógł przypuścić, żeby ciocia chciała po piętnastu latach przypominać sobie z nim księżycowe wieczory w Neapolu, nie posądzał jej o taką niepraktyczność, i był pewnym, że gdyby ciocię napadła rzeczywiście podobnie romansowa skłonność, prędzej-by zawezwała Edmunda, niż jego. Nie mógł także posą-

dzać jej, że ma jakieś matrymonialne projekta na niego, a choć mu to przypuszczenie mignęło nieraz przelotnie, jak błyskawica, to sam musiał uośmiać się z niewłaściwości podobnego domysłu; bo gdyby tak było rzeczywiście, gdyby ciocia w istocie dała pierwszeństwo jego kapitałom nad młodością i urodą Edmunda, to nie zapraszała-by tego ostatniego także do Iwonicza. Trudność rozwiązania tej zagadki była niemałą zachętą do wyjazdu. Była jeszcze druga zachęta, może większa, to jest: nadzieja przyjemnej rozmowy z Julią i jej ciągłe towarzystwo; ale do tego nie śmiał przyznać się przed nikim, nawet przed sobą samym. Odjazd był oznaczony na wtorek — to ustępstwo zrobiła ciocia dla Maurycego, pomimo, że się sprzeciwiał temu.

— Pan masz może jakie interesa do załatwienia? nie chciały-byśmy, abyś pan przez nas musiał je zaniedbać — mówiła w dobroci i łaskawości swojej niepojętej. — Wolimy zaczekać. Tych parę dni niewiele znaczy.

Tymczasem, zamiast dni kilku, upłynęło całe dwa tygodnie; to niepogoda, to spóźnione obstalunki, to niedyspozycya pań, odsunęły ostateczny wyjazd z Krakowa na całe dni czternaście, co Edmundowi było bardzo na rękę, mógł bowiem dłużej jeszcze cieszyć się widokiem i towarzystwem Julii. Zazdrościł on Maurycemu, że, niekrępowany obowiązkami, może wyjechać, kiedy mu się podoba. On musiał czekać, niestety, aż do pierwszego sierpnia, bo wtedy dopiero miał uzyskać urlop na miesiąc od dyrektora banku.

— Przynajmniej to mnie pociesza, — mówił przy rozstaniu z Maurycym — że ty będziesz tam czuwał nad moim skarbem. Prawda? będziesz czuwał?

— Mój drogi, trudną mi dajesz misyą — odrzekł Maurycy, chcąc w żart obrócić poważny i sentymentalny nastrój przyjaciela. — Argus miał tyle oczu, a jednak nie upilnował.

— Przyjaźń lepiej strzeże, niż Argus. Zresztą, nie idzie o strzeżenie, tylko o opiekę; Julia nie potrzebuje być strzeżoną... — rzekł z pewną dumą i zaufaniem.

— Czy już oświadczyłeś się jej?

— Nie miałem jeszcze odwagi. Odłożyłem to do Iwonicza. Tam znajdzie się lepsza sposobność.

Świst lokomotywy przerwał rozmowę przyjaciół. Maurycy wszedł za paniami do wagonu. Nastąpiły pożegnania, spojrzenia jak race krzyżowały się w powietrzu, i urywane rozmowy szły z okna wagonu ku Edmundowi, który miał minę opuszczonego jagnięcia i błagalnie patrzał na Julią, mówiąc jej oczyma to, czego ustami nie śmiał jeszcze wypowiedzieć. Nareszcie zadzwoniono po raz trzeci, nadkonduktor gwizdnął, z okna wychyliło się kilka rąk na pożegnanie zostającym, jedna z nich miała batystową chusteczkę. Była to rączka panny Julii, którą Edmundowi udało się jeszcze pochwycić już w czasie ruchu pociągu.

— Do widzenia! — zawołał.

Turkot kół i maszyny zagłuszył te słowa, i nic mu na nie już nie odpowiedziano.

Właściwa opieka Maurycego rozpoczęła się dopiero od Tarnowa; tu już on był rzeczywiście potrzebnym i pomocnym paniom. Trzeba było odebrać rzeczy z kolei, wynająć dyliżans, przetransportować do niego paczki, pudełka, pudełeczka, koszyczki, w których mieścił się cały arsenał toaletowy, wyszukać odpowiedniej restauracyi, gdzie-by się te panie mogły przyzwoicie nakarmić, iść do apteki po proszek dla cioci, gdyż w Krakowie zapomniała zaopatrzyć się w ten artykuł; sprowadzić dla niej kupcową z mankietami i kołnierzykami, bo jej powiedziano, że w Tarnowie znajdzie w tym względzie u Elki Debory wielki wybór; pannie Julii trzeba było szkło wprawić do zegarka, kupić na drogę ciastek i wina. Oprócz tego, już na wsiadaniu, trzeba było otwierać kufer i wyjmować z niego szale, boa, bo mieli jechać nocą, a noce bywały zimne. Wszystko to było na głowie Maurycego. Ciocia tak zdała się we wszystkiem na niego, że nawet nie zadawała sobie trudu otwierać portmonetki i płacić za rozmaite drobne wydatki. Maurycy chętnie zastąpił ją w tej drobnej przysłudze i przyjął na siebie także obowiązki kasyera. Dla człowieka takiego, jak on, nawykłego do wygód, spokoju, nieprzyzwyczajonego obsługiwać, bo raczej sam lubiał być obsłużonym, te pierwsze obowiązki opieki dość trudzące i uciążliwe się wydawały, szczególnie przy niewyczerpanych wymaganiach cioci. Dopiero, gdy umieścił panie i pudełka, i przeróżne rekwizyta, i sprawunki w dyliżansie, i sam wyszukał wśród tego wszystkiego trochę wygodnego miejsca dla siebie, odetchnął swobodniej i odtąd zaczął używać prawie samych przyjemności przyjętej opieki. Dawno już nie znajdował się w towarzystwie kobiet i to jeszcze do tego w tak familijnym stosunku, jaki zawiązać się musiał koniecznie przez czas dłuższej podróży, przy ciągłej opiece, jaką rozciągnąć musiał nad temi paniami. Nic tak nie zbliża ludzi, jak interes i podróż. Ceremonialne, sztywne formy etykiety muszą w takim stosunku roztopić się w ciepłej atmosferze poufałości i wzajemnego zbliżenia się. Być może, iż dla tych powodów, to jest dla ośmielenia i zbliżenia nowożeńców wymyślono podróż po ślubie. Dla Maurycego ten poufały stosunek z kobietami, opieka nad niemi, pamiętanie o ich wygodach i przyjemnościach, miały niezwykły urok, przedstawiały mu one bowiem przybraną rodzinę, był dla nich jakby bratem, ojcem, a przynajmniej blizkim krewnym, i to chwilowe złudzenie sprawiło mu nadzwyczaj przyjemne wrażenie, jakiego już dawno, bardzo dawno nie doznawał. To też, pomimo, że podróż ta przypomniała mu potrosze Neapol, nietylko nie miał w tej chwili żadnej urazy do cioci za zawiedzione nadzieje w przeszłości, ale owszem, czuł dla niej pewien rodzaj wdzięczności, że z jej łaski może teraz, przy niepewnem świetle pocztowej latarki, poić się widokiem Julii, rozmawiać z nią bez przeszkody, otulać ją szalem, rozbierać dla niej pomarańczę dla orzeźwienia i uspokojenia pragnienia, i robić inne usługi i grzeczności, za które odbierał uprzejme podziękowania. Co więcej, usłyszał z ust Julii pochwałę, że ma wiele zdolności do życia rodzinnego, bo umie koło kobiet chodzić i być im pożytecznym.

— Jaka to szkoda, — mówiła — że pan nie ożeniłeś się dotąd. Był-byś pan bardzo dobrym mężem.

Pochwała ta ucieszyła go niezmiernie. Więcej jeszcze ucieszył się tem, co usłyszał później, choć, sumiennie rzecz biorąc, powinien się był tem zasmucić przez wzgląd na przyjaźń, jaką miał dla Edmunda. Było to na popasie w jakiejś karczmie przy stacyi pocztowej. Cioci zachciało się koniecznie herbaty. W karczmie jej nie było. Trzeba więc było ująć sobie konduktora, by pozwolił pozdejmować pakunki z wozu pocztowego, szukać w tłomokach samowara, szklanek, herbaty, cukru. Wszystkiem tem musiał się zajmować naturalnie sam Maurycy, i przyrządzenie kilku szklanek herbaty w tych wyjątkowych okolicznościach więcej go trudu kosztowało, niż w mieście sprawienie sutego obiadu. Julia umiała ocenić te trudności i pijąc herbatę, odezwała się żartobliwie do Maurycego:

— Jestem pewną, że panu na długo odechce się podróżować z kobietami.

— Czy pani ma takie złe wyobrażenie o mojej grzeczności?

— Owszem, podziwiam ją. Nie każdy podjął-by

się takiego trudu. Dzisiejsi panowie lubią zanadto wygody.

— A jednak znam jednego, który zazdrościł-by mi tych trudów i dał-by wiele za to, żeby mógł być na mojem miejscu.

Julia spojrzała na niego zdziwiona swemi rozumnemi, bystremi oczkami. Zdawała się nie rozumieć tej alluzyi.

— Czy pani nie domyśla się, o kim mówię?

— Doprawdy, że ani trochę. Czy ja znam tę osobę?

— Przed kilku godzinami widziałaś ją pani.

Pomyślała chwilę i, spojrzawszy na niego, rzekła całkiem spokojnie:

— Pan myślisz o panu Edmundzie? Dlaczegożby panu Edmundowi miało zależeć więcej, niż komu innemu, jak panu naprzykład, na naszem towarzystwie?

Mówiła to tak spokojnym i naturalnym tonem, bez najmniejszego zarumienienia i zmieszania, że Maurycy musiał sobie w duszy powiedzieć:

— Albo ja nie znam kobiet i mylę się, albo biedny Edmund ludzi się — i to odkrycie śmielszy pęd nadało w jego piersiach, zrobiło mu się przestronno i swobodnie. Odtąd zaczął patrzeć na Julią innym wzrokiem, rzewniejszym, głębszym; na ustach jego drżały pytania, których nie śmiał wypowiedzieć, stał się rozmarzonym i milczącym. Niewiadomo, czy milczenie jego, czy znużenie, czy parne powietrze, zapowiadające burzę, uśpiło obie panie. Głowa Julii, wskutek wstrząśnień powozu, pochyliła się naprzód i oparła na ramieniu Maurycego. Przyjął z radością ten słodki ciężar, którym go przypadek obdarzył; bał się poruszyć, bał się oddychać nawet mocniej, by nie obudzić i nie spłoszyć śpiącej. Z czułością poglądał na jasną główkę spoczywającą na jego ramieniu, i myślał sobie, jakby to błogo było mieć taką istotę w domu, jakby chętnie wracał tam, wiedząc, że ktoś czeka na niego.

Marzenia te przerwało nagłe zatrzymanie się powozu; konduktor otworzył drzwiczki i rzekł:

— Iwonicz!

Julia zerwała się ze snu.

— Co to jest? Co się stało? — spytała zaspana i mimowiednie chwyciła za rękę Maurycego.

Ten, uspakajając ją, zatrzymał jej rękę w swojej dłoni i ośmielił się nawet lekko ją uścisnąć. Julia odsunęła żywo swoję rękę i sporzała na Maurycego wzrokiem takim, który go zmieszał i zawstydził. Musiała być obrażoną na tę zbytnią jego śmiałość, bo, wychodząc z powozu, nie przyjęła jego ręki, i nawet nie spojrzała na niego. To otrzeźwiło trochę pałającą i odurzoną głowę jego, a zajęcie się wyszukaniem mieszkania dla pań i dla siebie całkiem go przywróciło do przytomności.

Stanęli w „Czarnym pałacu.‟ Panie zamieszkały na pierwszem piętrze, on najął pokój pod niemi na dole. Świtać już zaczynało, zanim ułatwił się z tem wszystkiem. Przyszedłszy do siebie, usiadł zamyślony i z trzeźwym już umysłem począł zastanawiać się nad tem, co się stało. Był niekontent z siebie.

— Stary głupcze! — mówił do siebie — gdzie twoje zasady, twoje teorye, twoja wzgarda dla kobiet? Dość było jednej niebrzydkiej twarzyczki, kilku dobrych słów, które pogłaskały cię po sercu — i zapomniałeś o wszystkiem, chciałeś zdradzić nawet zaufanie przyjaciela i wystawiłeś się na śmieszność. Teraz wstydź się, waryacie.

Kilka godzin snu nie zmieniły tego usposobienia, owszem, wstał więcej jeszcze zły na siebie za swoją słabość i zapomnienie się. Najwięcej zaś to go bolało, że zdradził się przed Julią, i że ona źle to przyjęła. To go tak gryzło i wstydziło, że nie miał odwagi spotkać się z wzrokiem Julii, i tego dnia nie pokazał się całkiem w mieszkaniu pań. Cały czas przepędził na zwiedzaniu zakładu i spacerze do gloryetki wyższej. Gdy wrócił późno wieczorem, służący oznajmił mu, że panie czekają z herbatą. Niepodobna było nie iść. Wszedł z bijącem sercem, myśląc nad tem, jak go przyjmie Julia. Zastał ją właśnie nalewającą herbatę. Była dla niego taką, jak dawniej. Nie było na jej twarzy ani cienia tej urazy i surowej powagi, jaką miała przy wyjściu z powozu. To mu dodało humoru i śmiałości. Z lżejszem już sercem zbliżył się do cioci, która, nim mu jeszcze rękę podała, zarzuciła go pytaniami:

— No i cóż? chodziłeś pan podobno po zakładzie? Cóż wiesz? czegoś się dowiedział? Siadaj tu i mów.

Maurycy spojrzał na nią z zadziwieniem, nie wiedząc, o co jej chodzi właściwie, co chce wiedzieć.

— Jakto? — spytał — co niby mam mówić?

— No, wszakże zwiedzałeś pan dzisiaj podobno zakład? Byłeś pan w restauracyi, w kancelaryi. Musiałeś się dowiedzieć, kto tu bawi z gości.

— A o to idzie. Czytałem listę osób. Jest wszystkich osób 1,714, a familii 718; między temi żydów...

— Ależ nie o to mi chodzi. Co mnie mogą obchodzić skrofuliczne żydówki, okrzydłe żydy, dzieci z wodą w głowie lub nabrzękłemi oczyma; mnie idzie o to, czy dużo tutaj jest osób bawiących się, należących do świata eleganckiego, jak się tu bawią, kto rej wodzi, nadaje ton towarzystwu, jakie tu mają skandaliki, komeraże, zabawy etc.; o tem powinien się pan był dowiedzieć. To przecież najważniejsze.

— Przyznam się pani, że mi to nie przyszło na myśl.

— I z nikim ze znajomych pan się nie spotkałeś?

— Z nikim.

— Więc cóż pan robiłeś cały dzień. Myśmy wychodziły trochę i nie spotkałyśmy pana.

— Chodziłem po lesie.

Ciocia parsknęła głośnym śmiechem.

— Ależ to zabawne, jak męża kocham! Słyszysz Julciu? Chodził po lesie, i to w pierwszy dzień po przybyciu do wód. A, jesteś pan oryginał, mizantrop, widocznie starzejesz się pan.

Maurycy zarumienił się na tę ostatnią uwagę i równocześnie zawstydził się za ten rumieniec, który wydawał, że uwaga co do starzenia się ubodła go. Zły był na siebie, że go dotknąć mogła. Wszak sam nazywał się już starym kawalerem, łysina jego usprawiedliwiała po trochu ten tytuł, nie miał wcale pretensyi do młodości; a jednak teraz, wobec Julii, uwaga cioci niebardzo była mu przyjemną. Żałował, że chodził do lasu. Tymczasem ciocia mówiła dalej:

Widzisz pan, myśmy lepiej skorzystały z czasu. Mamy już masę wiadomości. Dowiedziałyśmy się, że jakiś doktor wykradł żonę swemu pacyentowi i wyjechał z nią do Niemiec. Złośliwi utrzymują, że uwolnił go w ten sposób od najcięższej choroby, jaka go trapiła, i powinien był za tę kuracyę upomnieć się u męża o grube honorarium, że pojawiła się tu jakaś bajecznie bogata Ormianka i miała mnóstwo konkurentów. Wszyscy kandydaci do stanu małżeńskiego tłoczyli się do posażnej Ormianki, ubiegali się o jej względy, powstało wskutek tego mnóstwo pojedynków, nieprzyjaźni między nimi, aż w końcu pokazało się, że owa piękna Ormianka była to po prostu żydóweczka z Jasła, córka kawiarki i do tego już zaręczona z jakimś bankierem z Wiednia. Rzecz cała się wydała, skoro narzeczony się zjawił. Ztąd konfuzya okropna, wstyd dla tych panów niesłychany, każdy teraz wypiera się, jak może, tej znajomości. No, czyż to nie zabawne?

(C. d. n.)

Nasze sługi.

— Ale się pani zna na kuchni?

— Nic a nic, moje dziecko.

— Tośmy się dobrały!... Bo ja również, proszę pani, nie umię gotować!

Na nauce religii.

— Ksiądz stawia pytanie: Znasz grzechy cudze?

— Chłopiec odpowiada na to:

Nie, tylko własne.

Po żydowsku.

Wojtek: A przecie ta krowa, coście ją, Mosiek sprzedali, na oba nie widzi...

Mosiek: Ny, a po co jej to patrzenie? Od patrzenie się nie utuczy. A wam jeszcze lepiej, bo jak dacie jej żreć słomę, to ona się nie dopatrzy, i będzie myślała, że to owies...